BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

Nr. 386

Zygmunt Kaczkowski.

ROZBITEK

POWIEŚĆ

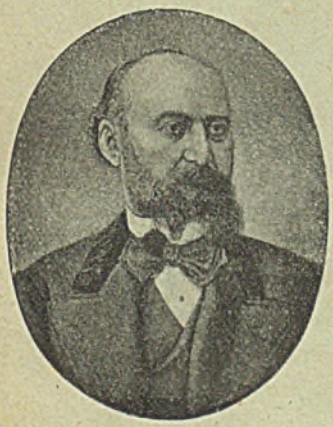

Z PRZEDMOWĄ

Wł. Jabłonowskiego.

TOM IV.

Cena 65 kop.

W prenum. 30½ kop.

WARSZAWA

Redakcya i Administracya

14. Warecka 14.

1905.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

wychodzi co tydzień

objętości jednego tomu.

Warunki prenumeraty:

W WARSZAWIE:	Z PRZES. POCZT.:
Rocznie (52 tomy) rb. 10	Rocznie (52 tomy) rb. 12
Półrocz. (26 tom.) „ 5	Półrocz. (26 tom.) „ 6
Kwartal. (13 tom.) „ 2 k. 50	Kwartal. (13 tom.) „ 3
Za odnoszenie do domu 15 kop. kwart.	

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

Dopłata za oprawę:

Rocznie . (za 52 tomy) . . rb. 6 kop. —
Półrocznie (za 26 tomów) . . rb. 3 kop. —
Kwartalnie (za 13 tomów . . rb. 1 kop. 50

Za zmianę adresu na prowincyę dopłaca się 20 kop.

REDAKTOR i WYDAWCA:

JAN GADOMSKI.

Redakcya Administracya Warszawa, Warecka 14. — Telefonu 88
we Lwowie Plac Maryacki 1. 4.

DRUK J. SIKORSKIEGO WARECKA 14.

POGWIZDÓW
P. MIECHÓW.

ROZBITEK.

N 5871

Zygmunt Kaczkowski.

ROZBITEK

Biblioteka Państwowego Liceum Pedagogicznego w Gliwicach

POWIEŚĆ

Z przedmową

Wł. Jabłonowskiego.

BIBLIOTEKA Państwowego Liceum Pedagogicznego w GLIWICACH Nr

TOM IV.

Pogwizdów P. Miechów.

WARSZAWA
DRUK JÓZEFA SIKORSKIEGO, WARECKA 14.
1905

Państwowe Liceum Pedagogiczne w Gliwicach Biblioteka
Kacz
Roz
831 t. IV
8-3
Studium Nauczycielskie Biblioteka Gliwice
SN 2.1138
Politechnika Śląska Kolegium Pedagogiczne BIBLIOTEKA

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Мая 1905 г.

Kolegium Nauczycielskie Gliwice BIBLIOTEKA
821.162.1-3
1.

III.

Kiedy Karol się zbliżył do Grzymalińskiego pałacu, to już zdaleka zobaczył niektóre zmiany, zaprowadzone tutaj tymczasem. I tak, przedwszystkiem innem uderzyły go w oczy ogromne, pomiędzy murowane słupy poosadzane sztachety, któremi cały pałacowy dziedziniec był obwiedziony. U wjazdu znajdowała się brama, na teraz szczelnie zamknięta, a koło niej, w kształcie maleńkiej baszty, pomieszczenie dla odźwiernego. Siedział tam nawet odźwierny, w barwę herbową ubrany, który wyszedł naprzeciw niego, pokłonił mu się, ale bardzo pilnie go opatrywał w milczeniu. Karol był w swoim polowym kubraczku i miał dosyć zmięty kapelusz na głowie, co go zapewne nie dosyć dobrze zaleciło temu wiernemu słudze, ale na szczęście swoje siedział na pięknym, wyniosłym i rosłym koniu, zamundsztukowanym i osiodłanym, a to go zapewne udobruchało. Ale Karol tymczasem się zniecierpliwił i rzekł:

— Cóż mnie tak opatrujesz? Otwieraj bramę.

— Juźci otworzę — odpowiedział odźwierny — ale, proszę wielmożnego pana, zajechać cicho, bo jaśnie pan nie może znosić żadnych hałasów.

Przejechał Karol przez bramę, lecz czy to przez niecierpliwość, czy przez zapomnienie, zajechał dosyć raźnie przed ganek. Na odgłos tętentu jego konia, wybiegła taż sama zgraja sług, jaka tu zawsze bywała dawniej, lecz zamiast powitać gościa ową dawną wesołą służbistością, powitała go niemem zdziwieniem. Na twarzy marszałka dworu wymalował się nawet jakiś rodzaj przestrachu, zapewne przed spodziewanym gniewem hrabiego za ten hałas w dziedzińcu; jakoż istotnie, w ten moment dał się słyszeć dzwonek w otwartej antykamerze, a marszałek zaledwie się zjawił, zaraz zniknął z wystawy. Karol już wtedy nie zsiadał z konia, tylko z kulbaki zapytał:

— Czy można się widzieć z panem hrabią?

— Zaraz tu wróci pan marszałek, to powie.

Wrócił nareszcie marszałek, już z wesołym uśmiechem na twarzy i rzekł:

— Jaśnie pan prosi.

Prowadząc zaś Karola przez długi szereg komnat, powiedział mu cicho:

— Bardzo to dobrze wielmożny pan zrobił, że przecie do nas przyjechał. Jaśnie pan często się dopytuje o pana. Ja już miałem nawet sam kiedyś skoczyć do Zawisłocza i wielmożnego pana do nas zaprosić.

Tak przyszedł Karol do komnaty sypialnej, w której Izydor leżał na łożu trzechletniego cierpie-

nia. Nie było żadnej zmiany w tej staroświeckiej komnacie, lecz zato jakaż ogromna zmiana w samymże chorym! Gdyby był Karol nie wiedział, na kogo patrzy, z pewnością by go nie poznał. Całkiem inna to była postać. Całą głowę miał łysą, a brodę czarną, zarośniętą i długą, prawie do pasa. Twarz jego wychudła tak, że zdawało się widzieć tylko czaszkę ludzką, obciągniętą skórą białą jak marmur. Cały też wyraz tej twarzy był marmurowy zupełnie, tylko rumieńce, wypieczone na obydwóch policzkach i oczy czarne błyszczące, odróżniały ją od twarzy kamiennych posągów. Tak leżał on, a raczej siedział na łóżku, oparty plecami o umyślnie na to sporządzoną kolosalną poduszkę i trzymał książkę otwartą w ręku, którą jednak już oparł o kołdrę i właśnie co z ręki wypuszczał.

Zobaczywszy Karola, nie witał go wcale, tylko wziąwszy jego całą postać dokładnie na oko, tak go przez chwilę wytrzymał, a potem dopiero rzekł:

— Przecież się raz namyśliłeś do Grzymalina przyjechać! Zapewne się obawiałeś żywego trupa zobaczyć. Siadaj, jeżeli łaska, tam stoi krzesło...

Karol był w samej istocie jego widokiem tak wzruszony, że w pierwszym momencie sam nie wiedział, co mówić. Siadł wszakże, zabrał głos i usprawiedliwił mu się ze swego zapomnienia. Podczas gdy mówił, Izydor śledził go bardzo pilnie, poczem zapytał:

— I nie wiedziałeś nawet o tem, że Józia zamąż nie poszła?

— Daję ci słowo, że nie.

— Miałeś być w samej istocie w wielkich kłopotach... Ale w takim razie podwójnie mi żal, żeś do mnie nie przyjechał. Byłbym w stanie dopomódz ci teraz bez trudności. Jestem teraz bogatym.

Karol patrzał na niego ciekawie, ale o nic nie pytał.

— Dziwi cię to, żem się wzbogacił—rzekł Izydor po chwili — myślisz zapewne, żem wziął jaką puściznę. Wziąłem istotnie, ale po sobie samym. Choroba mnie wzbogaciła. Wiedząc, że żyć nie będę, puściłem Grzymalin na lat dwanaście w dzierżawę i wziąłem wszystkie pieniądze z góry, posprzedawałem wszystkie inwentarze i zaprzedałem indemnizacyę *à fond's perdu*. Nabrałem za to pieniędzy jak grochu, popłaciłem wszystkie długi i jeszcze mam kapitały. Byłbym ci tedy tych kapitałów mógł pożyczyć, a to tem łatwiej, że jak widzę, już ich wcale nie potrzebuję...

— Bardzo ci za to dziękuję—odpowiedział mu Karol—ale jużem się jakoś z tych kłopotów wydobył własną pomocą. Co zresztą mniejsza. Ale proszę cię, czy istotnie tak źle jest z tobą, że nie ma żadnej nadziei? Mnie się zdaje...

— Tylko mnie nie pocieszaj—przerwał mu Izydor, podnosząc wychudłą rękę do góry — bo mnie będziesz mordował.

Karol umilkł. Po długiej chwili dopiero przemówił:

— Nigdy się tego nie spodziewałem! Byłeś tak zdrów, że nie znałem zdrowszego człowieka od ciebie. Jakże to przyszło do tego? kiedy się ta choroba zaczęła? co to jest za choroba?

— Długoby o tem mówić, a nie warto. Gdybym ci chciał opowiedzieć, zkąd się moja choroba wzięła, musiałbym ci opowiadać całą moją biografię, a czy może być coś nudniejszego, jak biografia pospolitego człowieka? Każdy człowiek ma jakiś kapitał życia: jeden go wyda za lat sześćdziesiąt, drugi nim ciągnie do stu, ja go wydałem za lat trzydzieści. Co zaś powiadają lekarze, to ledwie warto powtarzać. Przed trzema laty zaziębiłem się i dostałem tyfusu, wydobyłem się z niego, ale się pokazały suchoty pacierzowe, piersiowe, płucowe i jakie sam chcesz. Nomenklatury tej zresztą nie znam i nawet o nią nie pytam; dosyć mi na tem, że wiem, iż kapitał życia wyszedł, a pozostała jeszcze jakaś zdawkowa moneta, która się wlecze. Ale i tej już nie wiele zostało.

To rzekłszy, podsunął się trochę wyżej i oczy przymknął, ażeby odpocząć—a tymczasem się zmierzchło i do komnaty wniesiono lampę, w ciemno-błękitny klosz ujętą. To światło, prawie szafirowego koloru, w dziwny sposób oświeciło atmosferę komnaty; zdawało się, jakgdyby atmosfera ta spływała gdzieś z zabłękitów. Odjęła ona razem twarzy chorego ten pozór marmurowy, półtrupi, a zamieniła go jakgdyby w postać jakąś zaziemską, przykutą za jakąś karę do ziemi. Po chwili obrócił się, spojrzał na Karola i rzekł:

— Nie było cię półtrzecia roku w kraju, gdzież byłeś?

— Po największej części w Paryżu.

— Trochę hulałeś, potem zacząłeś się imać nauk i nachwytałeś ich mnóstwo, ale po szlachecku,

potrochu z każdego garnka, nie obaczywszy dna w żadnym. Wszyscyśmy tak zrobili, o co mniejsza, bo dopóki jeszcze pamiętamy, że jesteśmy szlachtą, a nie chcemy wiedzieć o tem, żeśmy powinni się stawać rzemieślnikami w obranych przez siebie zawodach, to nawet inaczej nie może być. Zrozumieli to ci, którzy zastępują Opatrzność na ziemi, i zmazali szlachtę z regestru. Już jej niema *de jure*, a niebawem zapewne nie będzie i *de facto*. Co wszystko mnie nie obchodzi. *Après moi le déluge*. Ale cóż przywiozłeś z sobą z Paryża?

Na to pytanie Karol nie umiał mu odpowiedzieć.

— Ja się pytam, czy rozpatrzywszy się w swojej przyszłości, jesteś zdania, że będziesz mógł egzystować w swej roli, czy nie?

— Nie mając innej roli — rzekł Karol—muszę, chcąc nie chcąc, kontentować się tą.

— A to ci bardzo winszuję. Będziesz szczęśliwym. Utyjesz, wzbogacisz się i będziesz żył długie lata. Proszę cię, czy oddawałeś się agronomii w Paryżu.

— Bardzo pilnie.

— Pojechałeś potem do Anglii i Szkocyi, zwiedzałeś gospodarstwa wzorowe i stoisz dziś na wysokości tej nauki. Cóż tedy rozumiesz: czy u nas da się zaprowadzić to wszystko, czy nie?

— Wszystko nie, lecz z czasem bardzo wiele.

— Proszę cię, co tam Skiba porobił w Zawisloczu takiego, że wszyscy tak o tem gadają? Jakieś łany rzepaku, jakieś ogromne plantacye tur-

nipsu i buraków, jakieś łubiny, kukurydze amerykańskie, lucerny i t. d. Czy to są rzeczy rozumne?

— Prawie wszystko to było rozumnem. Skiba porobił niektóre błędy w administracyi, ale co do agronomii, wielką mi oddał przysługę. Powikłał mnie wprawdzie trochę pod względem finansowym, lecz zato w postępie gospodarstwa rolnego przełamał co najgłówniejsze przeszkody i założył mi fundamenty do gospodarstwa takiego, iż się spodziewam, że za lat kilka stanie się ono rzeczywiście wzorowem, a Zawisłocze będzie przynosić bardzo znaczne dochody..

— *Satis*! — rzekł na to Izydor — już wiem teraz, gdzie jesteś, a nawet wiem, dokąd zajdziesz. Za parę lat zawisłockie gospodarstwo będzie istotnie wzorowem, będą tam kopcić przy zamku dwie parowe maszyny, na polach plony będą bajeczne, a zboże tamtejsze będzie się sprzedawało na wagę złota. Pan Karol, otyły jak Holender, będzie płacił jaknajregularniej podatki, nie będzie nikomu winien ani jednego grosza, będzie miał kapitały i będzie jednym z najznamienitszych obywateli prowincyi. Czy nie tak?

Karol milczał.

— Tylko nie myśl, proszę cię — mówił dalej Izydor — żebym to mówił z ironią. Ten ton suchy mojego głosu pochodzi z suchotniczej piersi, ale nie z suchotniczego serca. Ja ci szczerze twojego usposobienia winszuję, może ci go nawet zazdroszczę. Piękna to rzecz umieć się tak zastosować do wymagań czasu, wyrzec się z rezygnacyą starożytnych praw swoich, złożyć swoją osobistość na ol-

tarzu pospolitego dobra. Zazdroszczę ci tej poczciwości serca, tej szlachetności umysłu. Ja się na to zdobyć nie mogłem! I gdybym nie musiał umrzeć na suchoty, to umarłbym pewnie na okoliczności, w które mnie gwałtem wtłoczono. Fatalne to są okoliczności! Sam szatan nie potrafiłby fatalniejszych wymyśleć...

Tu chory umilkł i odpoczywał przez chwilę z zamkniętemi oczyma. Ale wprędce znowu głos zabrał i mówił potem cokolwiek żywiej:

— Czy myślisz może, że mnie tak boli strata poddaństwa? Przecież tego nie myślisz. Jeżeli w czyjem sercu mieszkało uszlachetnione uczucie ludzkości, to pewnie w mojem; jeżeli kto stał umysłem na wysokości dzisiejszego postępu, to pewnie ja; jeżeli kto był z całego serca za zniesieniem poddaństwa, to ja przed wszystkimi. Jakoż takiego zrzeczenia się byłbym pewnie z zapałem dopełnił. Ale dlaczegoż mi zabrano więcej, aniżeli postęp czasu wymagał? dlaczego mi ziemię moją zabrano bez mojej woli, ziemię, na którą krwią, trudem i śmiercią zapracowali moi ojcowie? Czy słychana to rzecz, ażeby kiedy na kim tak jawny popełniono rabunek?... Czy wiesz, czem jest teraz państwo grzymalińskie?— jest to sto kilkadziesiąt kawałeczków ziemi, porozrzucanych luźnie na dwumilowej przestrzeni. Pasy darto ze mnie; nie trudno ci sobie wyobrazić, jak po tej operacyi wyglądam... A potem zamieniono mnie w niewolnika. Nic mi już dzisiaj nie wolno. Nie wolno mi rąbać lasów, chociaż są jeszcze niby moją własnością, nie wolno mi domu, budy mi nie wolno postawić bez pozwolenia, nie wolno mi sługi

przyjąć, jeżeli ten sługa nie ma na służbę patentu. A za to wszystko wolno jest tę resztę moich gruntów przerzynać drogami na wszystkie strony, wolno mosty stawiać na mojej rzece i moje przewozy kasować, wolno jeszcze za to wszystko kazać mi płacić i płacić i płacić i płacić bez końca, a jeżeli się nie wypłacę, egzekwować, fantować, sprzedawać. Na dobitkę tego wszystkiego wolno jest temu samemu mandataryuszowi, który niedawno co był moim sługą i w przedpokoju oczekiwał moich rozkazów, zawezwać mnie wedle swojej fantazyi do swego biura, wolno mu mnie zamknąć za kratę, wolno nawet obłożyć kijami, bo przecież jesteśmy równouprawnieni. Jeżeli możesz żyć w takich okolicznościach, bardzo ci tego winszuję. Ja nie. Jestem też bardzo szczęśliwy, że się to kończy...

Zabrał na to głos Karol i tak mówił:

— Zapewne, że okoliczności te są arcyfatalne, poniżające, przygniatające, ale powiedzże mi, cóż ma ten robić, który jeszcze żyć musi dalej? Czy w łeb sobie strzelić? czy pójść do klasztoru? czy bić głową o ten mur nierozbity i póty bić, póki sobie jej nie roztrzaska?—Nie można przeprzeć złego, trzeba się z niem pogodzić, a cały rozum w tem, ażeby sobie i wśród tak nieprzyjaznych okoliczności taką egzystencyę wyrobić, ażeby w niej jakoś wyżyć do końca.

— A można to?

— Ja jeszcze nie wiem, stoję dopiero na progu.

— Cóż jednak sądzisz?

— Sądzę, że wyrzekłszy się tego wszystkiego,

czego już utrzymać nie można, a inne rzeczy zamknąwszy w sobie, postępując zaś wogóle z roztropnością i zrozumieniem bezstronnem tych wszystkich okoliczności, przecież jakoś wyżyć będzie można.

— Zapewne! — rzekł na to Izydor —zapewne, że ściągnąwszy z siebie skórę szlachetną, jak to zrobił nieboszczyk Chochlik w roku 1848-ym, to wszystko można. Ale to nie każdy potrafi... O! potrafiłby każdy i ktoby tego nie zrobił natenczas, gdyby to przynosiło nadzieję ziszczenia takiego stanu rzeczy, jakiego się spodziewamy od wieku; ale zrzec się ostatniej puścizny na to, ażeby z pojedyńczej wpaść w niewolę podwójną, ażeby go zamiast z góry, jak było dotąd, gnieciono i z góry i z dołu, tego nikt nie potrafi. Ale już się to stało, niema o czem mówić. Niema o czem mówić tembardziej, ile że jak widzę, dobrze wam będzie. Będziecie mieli gospodarstwa wzorowe, bydło tłuste, jarzyny dobre, kuchnię wyborną — a czego wam więcej potrzeba?

Karol zacisnął usta, a Izydor mówił po chwili dalej:

— Szlachta lubiła także niegdyś dobrze jeść i pić, lecz przez to nie zagasiła w sobie ducha. Żywiła ona dobrze swe ciała, lecz na to, ażeby w danych okolicznościach mogła tem silniej i pilniej palić z siebie ofiary duchowi. Jakoż gdy tego była potrzeba, waliła z armat do swoich własnych dworów i zamków, tratowała swe własne pola i kładła się śmiercią za dalszy żywot ukochanych przez siebie przekonań lub uczuć.—Demokracya po-

stąpiła sobie całkiem przeciwnie. Poczęła ona swój żywot w świecie duchowym, morząc się głodem i paląc żarami gorących marzeń, wysuszała swe soki żywotne na to, ażeby wprowadzić swoje idee w życie; ale idee te wprowadziła na to, ażeby osiąść w spokoju na roli i tłustym kawałkiem chleba swoje zgłodniałe wykarmić ciała.—Tamci pielęgnowali materyę, ażeby nią mogli służyć duchowi—a ci posłużyli się duchem, ażeby przyjść do posiadania i ugrzęznąć w materyi. Jakoż niebawem, jeżeli jest jeszcze jaka szlachta na ziemi, podobno całkiem zamienią się role. Romantyzm, ideologia, życie w marzeniach za granicami rzeczywistego świata, stanie się rolą szlachty — a materyalizm, zachowawczość i wogóle żądność dóbr doczesnych, sprowadzenie raju na ziemię—rolą demokracyi.

Pomilczał Izydor chwilę, a potem spytał:

— Czy nie jesteś takiego zdania?

— Nie powiem — odpowiedział mu Karol — ażeby to, co wyrzekłeś, nie było prawdopodobnem, nie powiem nawet, ażeby się to stać nie mogło, lecz jestem przekonany najmocniej, że się stać nie powinno. Bo najpierw, jeżeliby szlachta rzuciła się teraz w romantyzm, w ideologię tych praw. które bezpowrotnie straciła, toby uczyniła najgorzej. Wszelkie marzenia podobne, a przedewszystkiem marzenia wsteczne, prowadzą do bezczynności, do odrętwienia, a ztamtąd prosto do śmierci. Jeżeliby zaś szlachta rzuciła się do ideologii czynnej i zapragnęła to odzyskiwać nad ziemią, co utraciła na ziemi, toby wybrała i broń i pole jaknajniewłaściwsze. Czyny dokonane należą do historyi, a walki o ich

znaczenie, sprawiedliwość albo niesprawiedliwość są powołaniem uczonych i nie bywają nigdy treścią żywego życia. Jeżeliby tedy jeszcze jaka walka mogła dziś być właściwą dla szlachty, to tylko walka o pierwszeństwo w posiadaniu i zamożności, o której nawet zapominać nie powinna i w której jej dziś jeszcze o tyle łatwiej o zwycięztwo, o ile stosunkowo daleko większe ma środki potemu, niż wszyscy inni. Lecz walka o zasady dziś nie powinna już wcale mieć miejsca. Zasada przeszła w życie, stała się ciałem, stała się podstawą społecznego porządku — zaczem do walki o nią ustały wszelkie powody. Jakoż jestem zdania, iż dziś powinniśmy raz na zawsze zaprzestać myśleć o wszelkich walkach wewnętrznych. I ci, którzy postępowe zasady wyznają z przekonania, i ci, którym te zasady pomimowoli na kark wtłoczono, powinni zapomnieć o tem, że w przyjęciu tych zasad była niegdyś pomiędzy nimi różnica — a natomiast powinniśmy się wszyscy razem połączyć do wspólnej pracy około tego, ażeby duch nasz pospólny nie przepadł i ażebyśmy jego mocą i siłą wznosili się coraz wyżej w naszem plemiennem znaczeniu. Czasy te, w których społeczeństwu naszemu zamyślano za pomocą niezwykłych środków sporządzić znaczącą rolę na świecie, już przeminęły — a dziś każdy to widzi, że tylko żmudna, wytrwała, jednym duchem natchniona praca, może nam wrócić tę siłę, którąśmy, częścią przez ospałe marzenia, częścią przez wysilenia daremne, tak nadwątlili. W taką pracę zaprządz siebie samego, w niej dopomagać swoim sąsiadom bez względu na to do jakiego stopnia oni hołdują postępo-

wym zasadom i wogóle wpływać na to, ażeby każdy człowiek na tej ziemi żyjący imał się takiej pracy wedle sił swoich, oto jest, jak mi się zdaje, najwłaściwsza dla nas dziś dążność i najtrafniejsza nasza zasada. I zasada ta rzeczywiście coraz więcej się rozprzestrzenia i daj Boże, ażeby się jaknajprędzej stała powszechną, bo jestem pewny, że kilkanaście lat jej panowania przyniesie nam skutki tak świetne, o jakich dziś, smutni, rozbici i zniechęceni, nie możemy mieć nawet pojęcia.

Tak mówił Karol — a z tego widać, że Rozbitek ten już się całkiem spoił z sobą, stanowił świadomą siebie jednostkę, wiedział, gdzie jest i dokąd dąży.

Uznał to także i zgorzkniały Izydor i rzekł:

— Tak... tak..., mój drogi, jest to na dzisiaj jedyny sposób utrzymania się przy życiu. Bardzo się cieszę, że cię znajduję tak pogodzonym ze sobą i światem i tak gorącym apostołem nowego na tej ziemi porządku. Masz w tem najpewniejszą rękojmię swojego szczęścia, swojej pożyteczności, a ztąd i znaczenia. Wyobrażam sobie ten przyszły świat wasz, tak jakbym go widział i bardzo go wam pochwalam... Tylko, jeżeliś łaskaw, to mnie uwolnij od miłości dla niego. Nie mogę jej w sobie dla takiego porządku rzeczy obudzić. Nie lubię strzyżonych szpalerów, a jeszcze mniej mogę lubić społeczeństwa strzyżone. Nie takie czasy mi się marzyły po głowie, kiedym myślał o życiu. Pan wielki, jadący sześciu końmi, złotą karetą i otoczony nadworną milicyą, a obok niego żebrak umierający z głodu między krzakami—to bardzo smutny jest obraz. Ale

ja wolałbym w takim obrazie być tym żebrakiem, bo go dobroczynna policya weźmie gwałtem za kołnierz, ubierze w mundur wedle przepisu i osadzi w domu przytułku. Wolność i wolność, jakże to nieskończenie różne od siebie pojęcia!

Nie chciał się Karol jego pojęciom sprzeciwiać i milczał. Lecz milcząc, myślał.

Teraz dopiero bowiem zrozumiał on całkiem tego człowieka i dojrzał, co go właściwie rzuciło w objęcia śmierci. Suchoty ciała były tu rzeczywiście — przychodzą one rzeczywiście po życiu spędzonem w takiej swawoli i w takiej szlacheckiej zarozumiałości na swoje zdrowie, a takiej średniowiecznej pogardzie dla życia, ale byłyby one z pewnością nie przyszły, gdyby był Izydor po wyleczeniu się z nerwowej gorączki, miał w sobie dosyć siły moralnej, ażeby nadwątloną nić życia napowrót uchwycić i wzmocnić ją w sobie zdrowiem swojego ducha i żywą wiarą w konieczność dalszego istnienia swego na ziemi. Ale nie miał tej siły, nie miał wiary w tę siłę, a co najgorsza, nie miał nawet pragnienia utrzymania się jeszcze przy życiu. Zmiana stosunków społecznych, zupełnie jego uczuciom przeciwna, nieumiejętność zastosowania się do nowego porządku rzeczy, pomimo dobroci serca, szlachetności i zdolności poświęcenia się, przecież w głębi serca siedząca niechęć do zrzeczenia się swoich dawnych korzyści społecznych, wszystko to tak nadwątliło jego siłę moralną, iż podobno daleko wcześniej zaczęły się u niego suchoty duszy, aniżeli suchoty ciała. W każdym zaś razie przynajmniej równy tu udział miały choroba moralna

ą fizyczna i obie razem czyniły na wyścigi rum zbliżającej się śmierci.

Tak się to Karolowi zdawało, jakoż się nad tem zamyślił.

Tymczasem Izydor przerwał milczenie i rzekł:

— Ja wiem, co ty myślisz.

Karol się zbudził.

— Ty rozbierasz i dopełniasz w wyobraźni moje ostatnie słowa i myślisz sobie, że Izydor bałamuci przed śmiercią. Ale tak nie jest. Powiedziałem powyżej, że nie mogę się rozmiłować w społeczeństwach strzyżonych: tem jednem słowem wypowiedziałem ci wszystko i spodziewam się, że mnie zrozumiałeś. Dodaję teraz, że słowo wyleciało mi z ust przypadkiem. Wiem, co mówię, a mówię opierając się na dokładnej znajomości zamierzonej przez demokracyę przyszłości. Demokratą nigdy nie byłem, ale ta śmiała idea, dlatego właśnie, że jest tak śmiałą, obudzała we mnie zawsze najżywsze zajęcie i studyowałem ją bardzo pilnie i nadzwyczajnie gruntownie. Bawiąc zagranicą, zstępowałem codziennie na te niziny społeczne, gdzie ta idea była miazgą życia, gdzie ludzie daleko łakomiej się jej duchem żywili, aniżeli chlebem i wodą, gdzie się wychowywali jej najżarliwsi na kiedyś obrońcy. Ubrany w bluzę i habelkowe trzewiki, strawiłem niejeden wieczór za baryerami Paryża, albo w której podziemnej gargocie na *Vaugirard i Faubourg latin*. Nie zaniedbywałem tembardziej zabierać znajomości z najpierwszymi koryfeuszami demokracyi i republiki, socyalizmu i komunizmu, a obiady dla nich, dawane w *St. Germain, Ville d'Avray* i tak

dalej kosztowały mnie daleko więcej, aniżeli kolacye w *Maison d'or* i *au petit moulin rouge*. Wybornie się tam nieraz bawiłem. Stać bowiem przy samem źródle, z którego wytryska świeży promień nowego ducha, stać u samego krateru tego ognistego wulkanu i doprowadzać go do wybuchu i widzieć zblizka, jakie on skały olbrzymie, jakie ognie piekielne miota pod niebo, to jest nie ladajaka rozrywka. Jak tedy widzisz, nie zaniedbałem niczego w mem życiu, ażeby się temi nowemi ideami napoić, uczynić je swoją własnością i przerobić się na człowieka odpowiedniego wymaganiom postępu. Ale naprożno. Gdyby mi przyszło żyć z tymi ludźmi, których myśli są tak pełne energii i nieraz tak poetyczne, a swoją głębokością, wzniosłością, zuchwalstwem, szaleństwem, niedorzecznością tak rozmaite, toby mnie to bardzo bawiło, ale o to nie chodziło mi wcale, tylko o to, ażebym zbadał ich główną myśl i dowiedział się, czego oni końcem końców chcą i co nam myślą sprowadzić. Ażeby się tego jaknajdokładniej nauczyć, popłynąłem przed sześciu laty do Ameryki północnej i bawiłem tam osiem miesięcy. Tam zobaczyłem sumę tego całego rachunku, ideę w czyn zamienioną. Tam też zobaczyłem te społeczeństwa strzyżone, o których mówię. Dziwna proza!—Być może, że Europa, mająca swoją historyę i tradycye tak żywe, nie przyjdzie nigdy do tego, ażeby upadła tak nizko, jak społeczeństwa Stanów Zjednoczonych—być może, że nie ugrzęźnie tak głęboko w materyalizmie, nie uniewoli, nie zgłupi tak swego ducha, ażeby ten, przerywając miejscowo albo chwilowo swoje kajdany,

nie umiał inaczej objawić swojej swobody, jak tworzeniem pogańskich sekt, albo barbarzyńskim handlem murzynami; ale że i tutaj te nowe idee nie mogą nic innego sprowadzić, jak tylko lodowatą, kamienną prozę, we wszystkich arteryach życia i najnieznośniejszą niewolę dla wszystkich, to jest prawdą niezaprzeczoną. A wszakżeż ostateczną dążnością zasady demokratycznej nie jest nic innego, jak to, ażeby uniewolić pojedyńczego człowieka na korzyść ogółu. Na takim świecie, gdzie nie wolno nikomu być nawet tem, czem go Bóg stworzył, to jest samym sobą, a każdy musi być tem, czem mu być każą, niechaj sobie żyje kto chce!—mnie tu zaciasno.

Tu chory spoczął, pomyślał trochę, a potem tak mówił dalej:

— Obrzydliwa to będzie niewola, którą wam ten wasz postęp sprowadzi. Będzie wam wolno wierzyć i myśleć i mówić i pisać, jak się wam będzie podobało, ale nie będzie wam wolno spełnić ani jednego czynu podług własnej fantazyi, bo przez wzgląd na dobro ogólne, na wszystko będą przepisy. A na co nie będzie przepisu, przystrzygającego wszelką swobodę każdego pojedyńczego człowieka do pewnej miary, to będzie ograniczone niemożnością, o którą się z góry postara przeprowadzona w życiu zasada równości. Kiedy mi dziś już nie wolno ożenić syna przed skończeniem przepisanych lat życia, kiedy mi domu nie wolno postawić na moim własnym gruncie, kiedy wolno jest poprowadzić drogę choćby przez środek mego ogrodu lub popod oknem mego pałacu, jeżeli ta droga jest dla

pospolitego dobra potrzebną — a czegoż mi nie nakażą, albo nie wzbronią z postępem czasu? jakichże kajdan jeszcze nie włożą na mnie te wolnomyślne zasady, kiedy się jeszcze lepiej rozwiną? — Wolność i wolność, jeszcze raz to powtarzam, jakże to nieskończenie różne od siebie pojęcia!

Wymówiwszy te słowa, odetchnął z głębi piersi i dodał:

— Ale patrz, jak tu ten duch ludzki wije się i kręci na ziemi! Powiadacie, że postępuje naprzód: fałsz i nieprawda. Rozszerza się, uszlachetnia, tu i owdzie poprawia, czyści się, przytomnieje, ale naprzód nie postąpił jeszcze ani krokiem. Od wielu to wieków mozoli się nad tem, ażeby sobie sporządzić swobodę, ale napróżno. Z jednego gatunku niewoli tylko przelazi w drugą, ale wiecznie w niej siedzi. Z pod despotyzmu dziedzicznych władców przechodzi pod despotyzm dyktatorów, prezydentów lub komitetów, a teraz ciśnie się pod despotyzm zasad, najnieznośniejszy ze wszystkich dotąd praktykowanych. A ile to on nie poniesie trudów, pracy, ile krwi nie wyleje, ile mordów nie spełni, ile szczęścia nie zniszczy, nim z jednej formy niewoli przeciśnie się w drugą! Straszny to widok jest tej ludzkości, tak się wijącej, w tej swojej tak ciężkiej i nigdy się niekończącej boleści! Ale jest w tem i pociecha. Jest to bowiem najlepszy dowód, że życie nasze nie z tego jest świata. Jest w nas nieugaszone pragnienie swobody, cały prąd ogólnego ducha naszego dąży wszystkiemi siłami tylko do tego, ażeby się mógł wydobyć na wolność — wolności tej tu nie zdobywa i jest to rzeczą widoczną, że jej tu

nie zdobędzie—ale Bóg nie napróżno dał mu to pragnienie, ugasi on je gdzieindziej! Na ziemi był bój, za błękitami będzie zwycięztwo...

Przez ten cały czas Karol siedział na krześle, jak na kulbace, położył obie ręce na poręczy, brodę oparł o ręce i tak słuchał w milczeniu. Teraz wstał i przeszedł się po komnacie.

— Jak widzę, nie jesteś mojego zdania?—spytał go chory.

— Chciałem ci przeczyć—rzekł Karol—ale kiedyś tak skończył, to milczę.

— Cóż chciałeś zaprzeczyć?

— Chciałem zaprzeczyć temu, że niema postępu. Podług mojego zdania, nie widzi go tylko ten, który nie chce. Ale jeżeli kroki postępu i jego zdobycze mierzysz tak wielką miarą, że aż do nieba sięgasz, to oczywiście zaprzeczenie moje już nie może mieć miejsca. My się tu mniejszą mierzymy miarą i dlatego widzimy, że choć pomału, choć z trudem, przecież idziemy naprzód. Nie odbieramy też sobie nadziei, że z czasem przecież gdzieś zajdziemy, bo inaczej w samej istocie nie byłoby żadnego postępu i zgnilibyśmy na miejscu.

Przypatrzył mu się Izydor i rzekł:

— Jak widzę, znowu zmieniłeś swoje zasady.

— A znowu — odpowiedział mu Karol dobitnie — bo nigdy nie przyznawałem słuszności tym, którzy wlazłszy w błoto, siedzą w niem wiernie do śmierci i taką wytrwałość liczą sobie za cnotę. Byłem i ja niegdyś w tem trzęsawisku, lecz Bogu dzięki, z niego wylazłem, bo z doświadczeniem przyszedłem do przekonania, że odebrawszy dar taki, jak

życie, lepiej jest choć jako tako się za nie wypłacić, niżeli je zmiąć i wyrzucić,

Uśmiechnął się na to Izydor i rzekł:

— Zapewne musiałeś wyczytać wiersz znanego poety, który mówi:

„Masz ginąć marnie, to wolisz żyć marnie."

Uśmiechnął się na to także i Karol, a Izydor rzekł:

— Dajmy pokój. To nas do niczego nie doprowadzi. Niemasz z suchotnikami rozmowy; każda ich myśl dobra — ale tylko dla suchotnika... Jakoż wcale ci myśli moich nie narzucam. I owszem, cieszę się tem, że życie w tobie tak żywe. Nie powinienem się nawet dziwić temu, że wy jeszcze tyle wagi przywiązujecie do tego życia. Może być dobrze dzikim Indyanom pod rządem takiego despoty, który czasem piec każe swoich poddanych na rożnie i zjada ich potem; dlaczegożby wam nie było dobrze pod wolnomyślnym rządem zasad demokratycznych? A wszakże was zjadać nie będą, a jeżeli wam jeszcze część ziemi zabiorą, to dla dobra pospolitego... Ale kiedy cię tak żwawo zajmuje życie, to muszę cię spytać, cóż powiadasz o Józi?

— O Józi? — odpowiedział Karol przeciągle — ja nic nie powiadam, bo nic o niej nie wiem.

— Proszę cię — mówił Izydor—jak to dziwnie Bóg pokierował jej losem! Sam nie wiem, co mam o tem rozumieć. Dwóch miała konkurentów i była w największym kłopocie, któregoby miała wybrać — a osiadła na koszu. Tak Pan Bóg chciał, z czego wnoszę, że musiała przecież coś zawinić, kiedy

Bog nie dopuścił, ażeby poszła za mnie. Byłaby to sroższa kara dla niej, gdyby musiała była pokutować tu przy mnie jak siostra miłosierdzia. A bardzo mało brakowało do tego, bo gdybym był zachorował tylko o jeden dzień później, ślub byłby był przyszedł pewnie do skutku. Ale tak to Bóg chciał... Cóż myślisz o tem?

— Ja nic zgoła o tem nie myślę, bo o Józi nie myślę.

Przypatrzył się hrabia Karolowi z uwagą i zapytał:

— Całkiem się wyleczyłeś?

— Jaknajzupełniej.

Trwała chwila milczenia.

— A ja przecież ci powiem—mówił Izydor dalej — że nie jest to pospolita dziewczyna. Ja znam kobiety, studyowałem je z taką pilnością, że mnie to kosztowało pół zdrowia; mogę też coś o nich powiedzieć. Józia ma znakomite kwalifikacye... Nie wiem, co się teraz z niej zrobiło, ale wiem, że tam wogóle wielkie zaszły odmiany i mam powody mniemać, że odmiany te wyszły na jej korzyść. Jeżeli już jesteś wyleczony z miłości dla niej, jak sam powiadasz, tobym ci radził tembardziej zobaczyć ją teraz.

— Nie mam do tego najmniejszej ochoty.

— Dlaczegoż to? Czy gniewasz się na nią?

— Oh! wcale nie.

— Ale co?

— Ale nie mam już teraz do niej żadnego pociągu.

— Nie widziałeś jej przecie.

— Tem więcej wierzę mojemu sercu.

Milczał znowu hrabia przez chwilę, a potem rzekł:

— To mi żal tego bardzo.

— A teraz ja się spytam: dlaczego?

— Dlatego, że was kocham oboje i jestem przekonany, żeby wam dobrze byłoby z sobą. Oprócz tego szambelanówna, jeżeli dawniej była partyą niezłą, to teraz jest wcale dobrą. Ma Przewoźniki, ma je z pewnością i w całości, bo nawet je odebrała na siebie, a krom Przewoźnik będzie miała jeszcze coś więcej. Znam cokolwiek jej teraźniejsze rodzinne stosunki i mógłbym prawie za to zaręczyć...

Na tę uwagę Karol wstał z krzesła i rzekł:

— Już jest późna godzina, a u mnie robotnicy czekają wypłaty. Jeżeli cię to nie będzie nudzić, to cię będę odwiedzał tak często, jak sam rozkażesz; ale teraz muszę cię opuścić.

To rzekłszy, chciał chorego pożegnać.

Ale ten patrzał na niego otwartemi i przenikliwemi oczyma i milczał.

Pod wrażeniem jego wzroku, którego znaczenia nie mógł odgadnąć, Karol się kręcił cokolwiek.

Nareszcie Izydor przeciągnął się jakby w boleści, przesunął ręką po nagiem czole i rzekł;

— Okłamałeś mnie, panie Karolu.

— A to jak? — spytał Karol dość raźnie.

— Ale zapewne okłamujesz tak samo i siebie— dodał Izydor—a więc nie mam o to pretensyi.

— Nie rozumiem tego zupełnie.

— Irytuję cię każde wspomnienie o Józi, a więc się kochasz w niej jeszcze, dziś tak samo, jak da-

wniej, a może dziś jeszcze więcej. Ale mnie to cieszy, tak dobrze będzie. Nie winna ona temu, żeśmy się o nią zwarli z sobą, a jeszcze mniej temu, żeśmy się chcieli szlachetnością prześcignąć; niesprawiedliwościąby to było wołającą do nieba, gdyby za to musiała cierpieć przez całe życie. Ale jak widzę, nie będzie cierpieć i to mnie cieszy niezmiernie. Jedna to rzecz na tej ziemi, która mnie jeszcze niepokoiła cokolwiek, ale teraz już jestem spokojny...

— Bywaj zdrów — rzekł mu Karol — jutro cię znowu odwiedzę.

— Jutro?—rzekł Izydor—kto wie, gdzie ja już jutro będę. Daleką mam podróż przed sobą — zima się zbliża, trzeba się śpieszyć...

Te słowa zatrzymały Karola, nie odpowiedział mu nic, ale i nie odchodził.

— Pamiętasz jeszcze te powozy — zapytał Izydor — które sprowadziłem dla Józi przed trzema laty?

— Tak... przypominam je sobie cokolwiek.

— Te powozy są jeszcze u mnie, stoją nietknięte w wozowni. Pamiętaj o tem...

Wszystko to sprawiało na Karolu wrażenie jakieś tak dziwne, że sam nie wiedział, co mówić, a nawet co zrobić z sobą.

Na szczęście jednak w tej chwili przyszedł miejscowy proboszcz, a tak rozmowa przeszła na inny przedmiot.

— Jakże się pan hrabia masz? — pytał zacny kanonik, powitawszy obydwóch przyjaciół — lepiej

dzisiaj cokolwiek? Tak długo niewidziany gość przyniósł panu upragnioną rozrywkę.

— Rozerwał i pocieszył.

— No, to przyjdzie i sen tej nocy zapewne.

— Wątpię, Karol obudził we mnie myśl nową i zajmującą, która mnie rozbudziła tem więcej i prawdopodobnie przywiąże mnie jeszcze na dni kilka do ziemi. Myślałem, że już dziś pójdę do moich ojców... Czy wierzysz, kanoniku, temu, że człowiek siłą swojego ducha, mocą swej własnej woli, może się jeszcze długo utrzymywać przy życiu, chociaż śmierć już mu siedzi na piersiach?

— Nie, nie wierzę — odpowiedział proboszcz stanowczo.

— A! prawda, nie godzi się wierzyć temu.. Jeszcze dużo pogaństwa jest we mnie. Czy będziesz łaskaw czytać?

— Owszem, po to przyszedłem.

— To proszę—rzekł Izydor, zapominając zupełnie o gościu.

Zasiadł tedy kanonik w krześle, przy którem był pulpit przymocowany, a na nim otwarta księga zapalił dwie świece, przymocowane także do pulpitu i umbrelkami okryte i zaczął czytać w ten sens:

— 1. I przybliżali się do niego celnicy i grzesznicy, aby go słuchali.

2. I szemrali faryzeuszowie i doktorowie, mówiąc: iż ten przymuje grzeszniki i jada z nimi.

3. I rzekł do nich to podobieństwo, mówiąc:

4. Który z was człowiek, co ma sto owiec, a jeśliby stracił jednę z nich, iżali nie zostawuje

dziewięciudziesiąt i dziewięciu na puszczy, a idzie za oną, co zginęła, aż ją najdzie?

5. A gdy ją najdzie, kładzie na ramiona swe, radując się.

6. A przyszedłszy do domu, zwoływa przyjaciół i sąsiadów, mówiąc im: radujcie się ze mną, iżem znalazł owcę moją, która była zginęła...

Kiedy proboszcz wymawiał te słowa, Karola już nie było w komnacie.

IV.

Te pierwsze odwiedziny u Izydora sprawiły na Karolu przejmujące wrażenie, choć tego nie dał poznać po sobie.

Powróciwszy do domu, przechadzał się długo po swoim pokoju sypialnym, myśląc o tej śmierci straszliwej, która zawisła w tej chwili nad Grzymalińskim pałacem. Śmierć człowieka na ziemi jest zapewne tak zwyczajnym wypadkiem i tematem tak wyczerpanym, że trudno o niej coś nowego powiedzieć—ale śmierć taka i takie usposobienie przy śmierci nasuwało Karolowi niejednę myśl tak zajmującą i ważną, że trudno mu było nie zastanowić się nad nią.

Tymczasem wcale niespodziewany o tak godzinie, wszedł do jego pokoju Skiba. Zjawienie się jego zadziwiło trochę Karola, jakoż go spytał:

— Ty jeszcze nie śpisz? czy może się stało co złego?

— Gdzież tam — rzekł Skiba — tylko, jak wiesz,

nie mogę sypiać po nocach, a ponieważ i ty zapewne po odwiedzinach u Izydora nie będziasz mógł zasnąć tak prędko, więc jeszcze przyszedłem na chwilkę do siebie. Cóż mi powiesz o Izydorze?

Nie uważał Karol tej ciekawości, z jaką jego nauczyciel to pytanie wymówił, a cały tem tylko zajęty, o czem myślał w tej chwili, rzekł na to:

— A! ten Izydor... Wierz, że mnie widok tego człowieka tak wzburzył, że może nie potrafię zasnąć do rana.

Skiba patrzał z coraz większą uwagą na chodzącego po pokoju Karola i śledził tak pilnie każdy wyraz odbijający się na jego twarzy, jakgdyby dziś właśnie spodziewał się jakiej nowej a ważnej w nim zmiany i chciał się o niej natychmiast dowiedzieć.

Tak też było w istocie.

Wiedział on bowiem o tem od ludzi, że Karol, obaczywszy jakieś damy wyjeżdżające z chaty Bernata, zaraz tamże pojechał. Nie było tajnem Skibie, kto były te damy. Już tedy to samo naprowadzało go na domysł, że Karol dnia dzisiejszego mógł w sobie rozbudzić uczucia dawno przygasłe i myśli dawno już zapomniane—a wiedzieć o tem napewno, czyli je rzeczywiście rozbudził, nie było obojętnem dla niego. Wszakże daleko większą jeszcze w nim rozbudzało ciekawość, jakie też wrażenie sprawił na nim ten człowiek, który ustępował ze ziemi w tem przekonaniu, że życie w obecnych okolicznościach niema żadnej wartości i przy swej śmierci stał się jakby kodeksem przesądów. Wrażenie to było dla nauczyciela Karola nadzwyczajnie ciekawem, a to nietylko dlatego, iż teraz, kiedy jego uczeń wstąpił

na drogę czynnego bytu i zaczynał się stawać człowiekiem, on sobie miał za obowiązek najświętszy strzedz go od wszelkich szkodliwych wpływów i zboczeń; ale niemniej dlatego, iż wśród ustawicznych zajęć i prac gospodarskich, nie mogąc znaleźć dość sposobności do dłuższych z nim dysput, do dnia dzisiejszego jeszcze właściwie nie wiedział, jak się ten nowy człowiek wyrabia, co pod tym i owym względem dzieje się w jego umyśle i jakie w nim się konsolidują opinie. Niezmiernie tego wszystkiego ciekawy i cały drżący nad tem najulubieńszem dziełem swojego życia, chciał korzystać ze sposobności dzisiejszej za świeża. Dlatego tu przyszedł i dlatego raz jeszcze zapytał:

— Cóż mi powiesz o Izydorze?

— Czy widziałeś go kiedy w tych czasach? — zapytał go Karol.

— Owszem, widywałem go dosyć często.

— Ja nie wiem sam — zabrał głos Karol — co mam o tem myśleć, ale tak mi się zdaje, że Izydor nie umiera na suchoty cielesne. On umiera na chorobę nieznaną u nas dotychczas. Chorobę tę nazwałbym brakiem moralnego oddechu. Potomek przodków znakomitych i świetnych, dziedzic znacznego majątku, jest on zarazem i od natury uposażony w znamienite przymioty. Nie brakuje mu także na cnotach doświadczeniem wyrobionych i na zdolnościach nabytych. Gdyby było jego życie przypadło w te czasy, kiedy stanowisko społeczne było tak jak fortuna i imię dziedzicznem, kiedy młodzieniec jemu podobny wstępował od rana na wysoki szczebel w hierarchi społecznej, a dorazowym czy-

nem lub poświęceniem można było w ten moment wyskoczyć do wysokich i najwyższych godności, on byłby bezwątpienia zajął jedno ze znamienitszych miejsc w społeczeństwie. Ale nieszczęściem dla siebie, trafił na czasy, gdzie krom fortuny i imienia, nic nie oddziedziczy się więcej, gdzie zacmienie sławy swych przodków jest niepodobnem, a nawet mierne znaczenie można osiągnąć tylko powolną pracą i długo zdobywaną zasługą. On nie zrozumiał tego czasu, a ztąd wiekuista sprzeczność pomiędzy nim a otaczającym go światem. On byłby był zdolnym poświęcić na ołtarzu pospolitego dobra odrazu całą swoją fortunę, ale wydawać z niej codziennie po groszu nie umiał. Potrafiłby wyciągać korzyści dla siebie z poczynionych przez postęp zdobyczy, ale temu postępowi zaprzeczał i sam się do niego przyczyniać nie chciał. Potrafiłby był odbierać cześć i szacunek należny wyższości, ale na tę wyższość zarobić nie miał wcale ochoty. Umiałby być dygnitarzem lub naczelnikiem, ale człowiekiem być nie potrafił. Co świat już dawno odrzucił, to on zachował w sobie i jest dziś jakby archeologicznem muzeum, pełnem podruzgotanych i zardzewiałych rupieci — a co świat przyjął, czem oddycha i żyje, na te niemasz miejsca w jego wyschniętej piersi. Zaczem tym piersiom zaczyna coraz więcej brakować oddechu, osobistość jego niknie i świat mu znika z przed oczu, a dusza jego coraz częściej wyrywa się z ciała, ażeby błądzić pomiędzy pozapadane groby na zapomnianych cmentarzach. Padnie nareszcie na którym grobie, przyschnie do omszonego głazu i już nie powróci.

Wysłuchawszy tego wszystkiego Skiba, rozpromienił twarz swoją nietajonem zadowoleniem i z wyrazem serdecznej pociechy patrzał na swego ucznia, ten zaś tymczasem, ciągle zajęty tą sprzecznością, jaka zachodziła pomiędzy wyobrażeniami jego a Izydora, mówił tak dalej:

— Ale to nawet inaczej nie może być... Nie potrafi ten dzisiaj znaleźć stanowiska dla siebie na ziemi, kto w swojej głowie tak niedorzeczne powyrabia pojęcia. Wszystko tam w tym umyśle ukształtowało się jakby na wywrót. I tak powiada mi najpierw, że nadeszły dziś czasy, w których indywidualność człowieka znika w ogóle społeczeństwa. Jest to fałsz i nieprawda. Właśnie mijają ostatki tych czasów, gdzie indywidualność człowieka w zwyczajnym porządku życia tylko o tyle coś znaczyć mogła, albo nie mogła, o ile należała do wyższej lub niższej klasy społeczeństwa. Klasy te albo stany zlewają się dziś coraz bardziej z sobą i właśnie najpiękniejsze otwiera się pole dla indywidualnego znaczenia. Ale znaczenie to trzeba sobie własnoręcznie wyrobić. Nie jestże to wyraźny postęp uczucia sprawiedliwości? nie jestże to lepszem, aniżeli to, co dotąd bywało? Izydor mówi dalej, że ludzie nie mogą tutaj osiągnąć całkowitej wolności, przechodzą tylko z jednej niewoli w drugą, a teraz dążą do najcięższej niewoli zasad. Jest to fałsz drugi. Wolność bezwzględna nie jest podobna na ziemi, ale też jej nikt rozumny nie pragnie. Istniała ona już niegdyś, mianowicie natenczas, kiedy jeszcze społeczeństw nie było, ale okazała się nie wolnością, tylko najogólniejszem bezprawiem w całem jego zna-

czeniu. Ludzkość postępująca w oświacie do takiej wolności dążyć nie może, takiem dążeniem bowiem wróciłaby napowrot do barbarzyństwa i do stanu dzikości. Przeciwnie, im więcej się ona oświeca, tem głębsze obudza w sobie poszanowanie dla prawa i niczego goręcej nie pragnie, jak najwyższego udaskonalenia praw i zasad społecznych. Cóż to jest prawo? Prawo jest to wolność jednego, ograniczona wolnością drugiego. A co to jest wolność? Jest to suma praw społeczeństwa. Im doskonalsze są prawa, tem doskonalsza jest wolność!—i tak dalej. Izydor mówi nareszcie, że niemasz wcale postępu. Jest to fałsz trzeci. Postęp ludzkości jest tak widocznym, tak się dziś wszędzie objawia, we wszystkich arteryach życia, że trzeba być chyba umierającym, ażeby go nie widzieć. Księgiby trzeba spisywać, ażeby na to dowody wyliczyć. Jakoż nie o to może zachodzić wątpliwość, lecz raczej o to, iż są ludzie, którzy mniemają, że główna dążność tego ogólnego postępu nie jest taką, jakiejby ze słusznym względem na dwoistą naturę człowieka życzyć należało ludzkości. Powiadają oni, iż dążność ta jest więcej materyalna, aniżeli duchowa. Materya bierze górę nad duchem, a ludzkość stara się głównie o to, ażeby jej dobrze było na ziemi, mniej dbając o to, jak komu będzie za ziemią... Pozory, powodujące do tego wniosku, nie mogą być zaprzeczone. Ale azaliż to czas jest, wydawać ostateczny wyrok o epoce, która się zaledwie zaczęła? Czy po raz pierwszy to Europa po długoletnich wojnach i wysileniach rzuciła się do handlu, rzemiosł i pługa, aby odzyskać to, co straciła w czasach zniszcze-

nia? Czy po raz pierwszy opanowała ją trzeźwość po poetycznych zapałach i eterycznych marzeniach? A zresztą, czyż nie tą koleją idą wciąż dzieje ludzkości, że jej duch epokami wznosi się w niebo i znów do ziemi przysiada, a odpocząwszy, znowu wystrzela do góry? Nie traćmy zatem nadziei i patrzmy, a wtedy ujrzymy, że ten duch i dziś nawet nie pracuje li tylko na kawałek chleba codzienny. Rozsyłając okręty po krajach dalekich; poruszając machiny, warsztaty i pługi, nie służy on tylko samej materyi. Roznosi on bowiem równie skwapliwie swe światło w najodleglejsze tej ziemi zakątki, wali bałwany pogańskie pomiędzy barbarzyńskiemi ludami, posyła dobroczynne promienie wiary w niedotknięte krzyżem świętym krainy, buduje wspaniałe miasta w pustyniach zaledwie znanych przed kilku dziesiątkami lat, a kiedy tak odważnie pracuje po obcych ziemiach, nie spoczywa tamże i w swojej europejskiej kolebie i mnoży szkoły, rozprzestrzenia dobroczynne zakłady, wciska się w warstwy najniższe i wszędzie roznosi światło i uszlachetnione uczucie ludzkości. Nie wystrzela on może dosyć wspaniale w górę, lecz zato rozprzestrzenia się z szybkością i potęgą powodzi, a opasując ziemię żelaznemi drogami i telegrafami dokoła, wie każdej chwili na każdem miejscu o sobie, łączy się, zlewa, jednoczy sam z sobą i prowadzi całą ludzkość wogóle do takiej przytomności i świadomości samej siebie, jakgdyby całą ziemię chciał zamienić w żywe i przytomne stworzenie, a całą ludzkość w jednego z milionów złożonego człowieka. To jest też najgłówniejszą cechą dzisiejszej ogólno-ludzkiej dążności. Żyć w ta-

kich czasach, być cząstką tak pracowitej, postępującej, i ciągle się uszlachetniającej ludzkości, przyczyniać się do tej pracy wspólnej, stawać się coraz znaczniejszą częścią tak dzielnego i przytomnego ducha tej ziemi, nie wiem ażali być może uważanem za karę... Ale są ludzie, którzy nie mogą znieść tego, że się urodzili w tych czasach, gdzie warto jest i trzeba być koniecznie człowiekiem — i wykluczają się z pomiędzy żyjących. Mniejsza o takich, którzy i z innych względów nie wiele warci, ale Izydora żal mi serdecznie.

Wysłuchawszy tych zdań swego ucznia, Skiba nie potrzebował już więcej. Wstał, ujął go za rękę, ścisnął z całej siły, a łzy mu stanęły w oczach.Rzekł przytem głęboko wzruszonym głosem:

— Dziękuję ci, mój Karolu, widzę cię przecież nareszcie człowiekiem.

— Czy nie spodziewałeś się tego?— spytał go Karol.

— Spodziewałem się zawsze, ale trudno mi to zataić, iż miałem chwile, w których także i rozpaczliwe obudzały się we mnie uczucia. A osądź sam, czy nie miałem do tego powodów?...

— To prawda — odpowiedział mu Karol—powodów do tego nie brakło. Ale czy może to inaczej być u nas? Czy może człowiek młody, mający coś więcej w głowie i w sercu, aniżeli trzeba do wegetacyi, na samym wstępie do życia pogodzić się z tą ciasnotą okoliczności, w której u nas żyć musi? Czy może poprzestać na takiej roli, która mu każe siać i zbierać, a w razie najlepszym, po latach wielu, dorobić się zachowania zaledwie na mil kilka

wokoło? — Ja się dziś na te rzeczy zapatruję już w sposób cokolwiek inny, ugiąłem karku do tego ciasnego jarzma, bo muszę; ale nie myśl, mój Skibo, ażeby mnie stanowisko to, które zaczynam zajmować na świecie, zadowalało zupełnie. Tyle lat strawić w pracy tak żmudnej, tyle rozbudzić w swej głowie myśli, tyle ożywić uczuć i wszystko to potem zagrzebać między kopcami rodzinnej wioski— to bardzo ciężka niedola, to ból, to rozpacz. Wstąpiłem już na tę drogę konieczną, jużem się z moim losem pogodził— lecz to uczucie boleści nad tem, że się to całe życie w tak ciasnem więzieniu przeżyje, że się nic więcej nie zrobi, jak tylko, że się to i owo zachowa i może i dzieciom przekaże, nigdy mnie nie opuści. Będzie mi się wszystko wiodło w tem życiu, jak tylko można najlepiej, będę miał wsie i pieniądze, może żonę poczciwą, dzieci kochane, miłość i poważanie u ludzi; ale wszystko to tego gorzkiego uczucia we mnie nie zatrze. Będę patrzał na moje ziemie, a widok ich będzie mnie tylko tem cięższym napawać smutkiem, będę patrzał na dzieci i będę płakał nad niemi... O! nie sądźmy tak Izydora surowo! Umiera on na suchoty cielesne, które sam sobie sprowadził, umiera na suchoty duszy, której nie umiał ożywić; lecz pod tem wszystkiem ukrywa się jeszcze coś więcej. Ból to jest, ból wiekowy, społeczny, nieuleczony, który go zatruł, choroby w nim potworzył, na łoże rzucił i zabiera z tej ziemi. Od tej albo owej choroby, z tego bólu wynikłej, nikt z nas nie może być wolnym—i dlatego to nam tak trudno być ludźmi...

To rzekłszy, poszedł ku oknu i patrząc przez

nie w noc ciemną, zaczął bębnić po szybach w milczeniu.

Skiba siedział w głębokiem krześle, pochylił głowę, zasłonił twarz swoją ręką kościstą i także milczał przez chwilę. Zbudził się wszakże i rzekł potem ze smutkiem:

— Ha! tak to jest. Niema co przeciw temu powiedzieć. Boleść ta jest naszą pospólną własnością, każdego ona przygniata, a tylko odstępcy są od niej wolni. Ale ta boleść jest to nasza odziedziczona, przyrodzona puścizna, jest jakby narośl jakaś na duszy, jak bywają narośle na ciele. Bywają ludzie garbaci fizycznie, my jesteśmy moralnie garbaci. Ale czy garbaty nie jest przeto człowiekiem? Cóżby powiedziano o którym z nich, gdyby dlatego, że jest garbatym, opuścił ręce i w bezczynności albo płakał wciąż do tych czasów, kiedy ten garb z jego pleców ustąpi? To samo powiedzianoby także i o nas. Jakoż pięknie to wypowiedział nasz wieczcz niezrównany, chociaż sam był najwymowniejszym wyrazem tejże boleści, mówiąc kędyś w swych pieśniach:

Człowiek nie jest stworzony na łzy i uśmiechy!
Ale dla dobra bliźnich swoich, ludzi.
Jakkolwiek w twardej Bóg doświadcza próbie,
Zapomnij o swym proszku, zważ na ogrom świata...
Sługa Boży pracuje do późnego lata;
Gnuśnik tylko zawczasu zamyka się w grobie,
Nim go Pan trąbą straszliwą obudzi.

Głęboka, niespożyta mądrość zamyka się w tych kilku wierszach; szkoda, że Izydor ich nie znał i nie wziął sobie do serca. Ale ty je znasz — do

dał Skiba, powstając z miejsca—i jestem pewny, że weźmiesz je sobie za godło na całe życie. Będziemy w dogodnej porze rozmawiać o tem obrzerniej— a tymczasem dobranoc ci.

— Już idziesz? — zapytał Karol, budząc się z zamyślenia i odwracając się prędko od okna.

Po tym jego ruchu tak prędkim zdawało się, jak gdyby mu żal było, że Skiba już go opuszcza i jak gdyby mu miał jeszcze wiele do powiedzenia. Ale w ten moment uspokoił się i rzekł:

— Dobranoc.

Skiba wyszedł.—

Po jego odejściu zdawało się Karolowi, że już wyrzucił z siebie to wszystko, co go niepokoiło i gwałtem się dobywało na zewnątrz.

Lecz tak nie było.

Już bowiem rozebrał się, już się do snu ułożył, już świecę zgasił, ale sen przecież mu nie przychodził. Zaczął nareszcie mrzeć trochę, lecz niespokojna to była senność, albowiem co chwila to mu się jawił w wyobraźni ten powóz obsadzony damami, który widział wyjeżdżającym z chaty Bernata—to mu się przypominało to wszystko, co Izydor mówił o Józi—to wreszcie jakoś dziwnie go to zajmowało, jakie to właściwie odmiany zaszły w Przewoźnikach, o czem z takim naciskiem wspominał jego przyjaciel?

Przespał tedy noc bardzo niespokojną i niesłychanie męczącą.

Ale i dzień następny nie o wiele miał spokojniejszym.

Ten niepokój wewnętrzny tak silnie go opa-

nował, iż lubo nie wziął jeszcze żadnego postanowienia, jednak zaczął jak najpilniej się wypytywać, tak o losy całej rodziny szambelana wogóle, jak o Józię szczególnie, jak wreszcie o to wszystko, co się dziś działo w Przewoźnickim pałacu.

Tymczasem w pałacu tym zaszły istotnie zmiany niezmiernie ważne, a tak rozmaite, że Karol potrzebował ze dwa tygodnie czasu, nim się o nich podowiadywał.

My je znamy oddawna, czemu możemy je opowiedzieć zrozumiale, krótko i bez cudzej pomocy.

V.

Owo więc dnia tego, kiedyśmy z Karolem i Izydorem po raz ostatni byli w Przewoźnikach, powziął był szambelan z Alfonsem postanowienie zaraz nazajutrz do Grzymalina pojechać i Izydora zniewolić do deklaracyi—jeżeliby się zaś to nie udało, ożenić z Józią Karola.

Wierny temu postanowieniu szambelan pojechał w samej istocie nazajutrz wieczorem do Grzymalina. Ale natenczas zastał Izydora już leżącego w łóżku. Przyjechał po raz wtóry we dwa dni potem — ale Izydor już był bez przytomności. Rozmówił się szambelan z lekarzem i dowiedział się od niego, że dnia pierwszego pokazał się u hrabiego atak piersiowy, a dziś zdeklarował się tyfus. Jeżeli wyjdzie z tyfusu, to prawdopodobnie okażą się potem suchoty; odebrawszy taką wiadomość, szambelan położył krzyż na Gzymalin, a zwrócił się ku Zawisłoczu.

Lecz w Zawisłoczu już nie zastał Karola. Puł-

kownikowa przyjęła go chłodno i nawet nie powiedziała mu, dokąd jej syn odjechał. Dziwnie skonsternowany wrócił szambelan o domu—porażka była kompletna.

Wszystkie te wiadomości przyjął Alfons z angielską flegmą i kamienną obojętnością; jakoż widząc, że niema na teraz tu już nic do czynienia, zabrał się z całym swoim bagażem i na Podole wyjechał.

Ale szambelan, ojciec i człowiek starszej cokolwiek daty, zaczem przecież jeszcze nie z tak twardego wyrzeźbiony kamienia, nie umiał tego znieść z taką obojętnością. I bolało go to i obudzało w nim niecierpliwą ciekawość, dlaczego ci ludzie tak nagle i tak stanowczo odskoczyli od jego córki i domu? Szukał przyczyn, ażeby mógł tem pewniej zaradzić skutkom. Ale napróżno wybadywał o nie i siostrę i córkę, nic od nich się nie dowiedział. Wpadał zatem na najdziwaczniejsze domysły i podejrzenia i szukał ich potwierdzenia na drogach innych; ale i to go nie doprowadziło do celu. Przeciwnie, postępowanie takie nieufne, podejrzliwe, krzywdzące, wzburzyło biedną dziewczynę jeszcze tem więcej, i tak już samem tem nieszczęśliwem zdarzeniem nie pomału wzburzoną. Zamiast więc jakich wyjaśnień, przyszło tylko do nieporozumień: wyrzucał ojciec córce, że swoją nieroztropnością podeptała szczęście swojego życia — córka nawzajem przypisywała winę tego wszystkiego ojcu— a oboje znów razem mieli w podejrzeniu ciotkę, że to ona poknuła tak niefortunne intrygi. Tak wnętrze Przewoźnickiego pałacu stało się wtedy sceną

zgorszenia, a w niedługim czasie każdy to dojrzał, że tak, jak jest, dłużej pozostać nie może.

Ponieważ zaś jak to samo z siebie wynika, najwięcej nad tem wszystkiem cierpiała Józia, ona też rzeczywiście musiała się stać tym, który jakimś krokiem stanowczym temu nieznośnemu stanowi rzeczy położy koniec.

Na jej szczęście, nie brakło jej do tego ani energii, ani determinacyi.

Skończyło się wreszcie natenczas na tem, że najpierw wyjechała z Przewoźnik ciotka—a po niej wyjechał także i ojciec, oddając córce jej macierzyński majątek i wyrzekając się wszelkiej nad nią opieki.

Dwudziestoletnia Józia została panią Przewoźnik i samowładną panią swej woli.

Smutne to rezultaty — na szczęście wszakże spotykane tylko w rodzinach, które dopiero wczoraj swój nowomodny byt rozpoczęły i niezespolone jeszcze niczem z ogółem społeczeńsstwa, błąkają się luźnie po jego skrajnych manowcach. Jeżeli zły przykład z siebie dają, nikt się nim nie zarazi— jeżeli zginą, nikt nie zapłacze nad niemi...

Wziąwszy te wszystkie zdarzenia na oko, zdaje się, jakoby one nie mogły być wcale dobrem świadectwem dla Józi. Ażeby miały być dobrem, zapewne, że to trudno utrzymywać — ale że nie są tak złem, jakiem się być wydają, to jest rzecz pewna.

Kto była Józia?—jeszcze my jej nie znamy.

Owo więc Józia była do dnia dzisiejszego tak dobrem. poczciwem dzieckiem, jakiem się okazała

niegdyś w chatce Bernata. Ale od tego czasu haniebnie ją psuto. Zdaje się, jak gdyby sobie za cel to wytknięto, ażeby zmiąć, zbryzgać, splugawić tę jasną i czystą perełkę, którą Bóg przez swą litość najwyższą rzucił w tę niezacną obłąkaną rodzinę. Zawieziono ją więc do stolicy i wprowadzono w towarzystwo najgorsze. Nigdy niewinnej kobiety nie zepsują mężczyzni, ale zawsze kobiety. Pomiędzy takiemi kobietami strawiła ona całe dwa lata. Znajdowała się pomiędzy niemi, jakby w jaskini rabusiów, z których każdy udzierał po szmatce z tej białej i niewinnej sukienki, w którą ją ubrała natura. Otwierano jej oczy na rzeczy takie, które powinny były być dla niej tajemnicą do końca—wmawiano w nią, że jest piękną, bogatą i godną królowania na ziemi, a królestwo to piekielnemi malowano kolory — wystawiano ten cały świat li tylko ze strony ziemskiej, materyalnej i brudnej, a brudy te nawodzono promieniami tęczy i złota. Tak prowadzona młoda dziewczyna, gdyby była przyszła do przekonania, że na tej ziemi nie masz nic uwagi godnego, oprócz użycia, gdyby się była rzuciła w odmęt światowych rozkoszy, gdyby się była stała jedną z Messalin swojego czasu — to i to może nie byłoby dziwnem. Ona jednak utrzymała się jeszcze pośród tej burzy, a kołatana ustawicznie najprzeciwniejszeni wichrami, tylko się zbałamuciła cokolwiek...

Każdy człowiek na tej ziemi, chociażby to był człowiek najlepszy i najzacniejszy, przecież ma na dnie swej duszy jakieś męty nieczyste, jakiś osad nieprzezroczysty. Nie frasujmy się tem: to jest

grzech pierworodny, to ziemia. Całą sztuką człowieka prowadzić się z takim spokojem i z taką niewzruszoną stałością pomiędzy burze tego żywota, ażeby żaden wicher nie mógł wzruszyć dnem jego duszy do tego stopnia, że się te męty skłóciły. Wielu ludzi miało istotnie to szczęście. Przetrwali wszystkie wichry światowe, nigdy czysta krynica ich istoty moralnej się nie zmąciła; zaczem po latach męty te stwardły, stały się jakby kamienną skorupą i w końcu nie mogły już być wzruszonemi, choćby w nie uderzały orkany. Ale nie wszyscy byli tak szczęśliwi, osobliwie w młodości, kiedy te męty ziemskie są jeszcze tak subtelne i lekkie, że lada powiewem wznoszą się w górę i mieszają się z płynnym kryształem duszy. Józia nie należała także do tych szczęśliwych. Burzona i kołatana ustawnie, zmąciła w sobie krynicę swej czystej duszy i straciła na chwilę jasne i pewne siebie spojrzenie.

Wróciwszy na wieś, dostała się do rąk swej ciotki, najohydniejszej balamutki pod słońcem — na jej nieszczęście, opętał ją wtedy także i Izydor, drugi bałamut wierutny — ażaliż dziwna, że ją zbałamucono doreszty? — Grunt wszakże, sama jej wnętrzna istota, nie była jeszcze zepsutą. Trzeba tylko było jakiegoś ważniejszego zdarzenia, ażeby ta istota się w niej objawiła.

Zdarzenie to zaszło istotnie: obadwa konkurenci odstąpili ją nagle, w jednym dniu, prawie jednej godziny. Dusza jej przyszła w samej istocie do przytomności...

Przytomność jej objawiła się wprawdzie przedewszystkiem innem w sposób taki, który trudno po-

chwalić. Wzburzyła się ona bowiem przeciwko ciotce, co gorsza, wzburzyła się przeciw własnemu ojcu. Sceny te, na które umyślnie zarzucamy zasłonę, nie mogły sobie nigdy na pochwałę zasłużyć. Dziecko, burzące się przeciw ojcu, mogłoby tylko natenczas znaleźć usprawiedliwienie, gdyby je ten ojciec nakłaniał do występku lub zbrodni. Tu nie było tego wypadku. Józia błąd popełniła ogromny.

Ale była ona natenczas temi nieszczęściami, które na nią spadły niespodziewanie, tak utłumioną, zgryzioną i rozpaczoną, tak głęboko uczuła błędność swego dotychczasowego zachowania się, tak gorąco zapragnęła natychmiastowej poprawy, iż zdało jej się, że wolno jej było w tym razie wcale nie przebierać pomiędzy środkami, ażeby możność tej poprawy sprowadzić. W tej zresztą zgryzocie, boleści, rozpaczy, nie wiedziała sama, co robi. Zapragnęła samotności — w niej widziała jedyną dla siebie pociechę — o nią się więc postarała z całą energią i stanowczością. Jak zaś stanowczo, jak istotnie objawiła się w niej ta pożądana reakcya, widzimy ztąd, że sam szambelan nawet nie zdołał jej stawić oporu, tylko oddał jej Przewoźniki, pozostawił ją jej własnej opiece, a sam na Podole wyjechał.

Józia tedy została sama.

Były to bardzo smutne dni, które jej wtedy przyszło przepędzać. Cała jej przeszłość stawała koleją przed jej oczyma — a jakże to nieprzyjemne, jak upokarzające były dla niej obrazy! Czasy, które się skończyło owym tak błogim pobytem w chatce Bernata, gdzież się podziały? czemu tak prędko minęły? dlaczego po nich nie zostało ani śladu?

Jakże ona była swobodną, jak lekką, jak szczęśliwą natenczas! Jak miała szczęście całego życia swojego w swym ręku—jak mogła uszczęśliwić Karola!— Za jakąż karę losy rzuciły ją w towarzystwo takie szkaradne? — Gdzie był jej umysł zdrowy, gdzie jej serce natenczas, gdy zamiast modlić się w sukni żałobnej nad grobami poległych, zamiast czyste natchnienia swojego serca łączyć z krwawemi westchnieniami narodu, a pocieszać się żywo i wiernie przechowywaną miłością dla tego, który cierpiał i jęczał w więzieniu — weseliła się w towarzystwie odstępców i tańcowała po ziemi jeszcze krwią świeżą ciekącej?—Azaliż Bóg ją tak dalece odstąpił, że nawet nie czuła wstrętu od tego zezwierzęcenia, które ją otaczało natenczas?

Zaprawdę, gorzkie to były uczucia, zabijające myśli, które się tą koleją w niej obudzały.

I jakież to dalsze były skutki takiego zapomnienia się i zbratania z zepsuciem? Oto na miejsce dawnej skromności pogańska pycha zamieszkała w jej sercu, na miejsce uczuć naturalnych i prostych gorączkowe w jej głowie zakipiały marzenia, odezwały się żądze zuchwałe a nizkie, zdrowy rozsądek ociemniał, wiara przygasła, zapomniało się może nawet i codziennego pacierza...

Dziwnie gorzko zrobiło się Józi, kiedy sobie rozmyśliła to wszystko.

Lecz to uczucie, które dziś głównie zawładnęło jej sercem, to było uczucie pokory.

Pokora, to łaska Boża. Rzadko kto dróg swych omylił, kto się stał godnym tej łaski.

Józia natenczas jeszcze nie wiedziała wcale,

jakie powinny, jakie jeszcze być mogą jej drogi. Czuła to, że dobrze zrobiła, że się osamotniła—ale i źle zrobiła, bo w tej samotności na zawsze pozostać nie mogła.

Ta myśl bardzo ją niepokoiła — i wtedy czuła się codzień więcej stłumioną, codzień dotkliwej gnębiła ją myśl, że się znajduje w położeniu wyjątkowem i nienaturalnem, codzień burzliwsza obejmowała ją trwoga, graniczącą czasem z rozpaczą.

Tak myśląc nad tem coraz mozolniej, coby jej wypadało z sobą uczynić, przypomniała sobie nareszcie dom swojej babki w Krakowie, który jak cień tylko pamiętała z czasów swojego dziecięctwa, ale który zawsze był dla niej bardzo przyjemnem wspomnieniem...

Jeżeli sobie zechcemy przypomnieć, to wspomniała ona nawet raz o tym domu w jednej rozmowie z Karolem w chatce Bernata, a to natenczas, kiedy Karol jej opisywał wnętrze Zawisłockiego dworu. Powiedziała ona wtedy te słowa:

— Te staroświeckie sprzęty, te starożytne obrazy, ta kaplica domowa, ci starzy słudzy, ta cisza taka poważna i świątobliwa, ach! jak mnie to chwyta za serce! To mi przypomina dom mojej babki w Krakowie, to moją matkę wywołuje mi z grobu— jabym tam płakać mogła, ja będę płakać, kiedy tam wejdę...

Czy tedy tylko samo wspomnienie domu jej babki, czy tak blizkie powinowactwo tego domu z domem Karola, czy może wywołane tem nawet wspomnienie samego Karola, dość, że ta myśl dziwnie Józię zajęła i to nawet do tego stopnia, że od

tego momentu cała już była w Krakowie. Ale i w skorzystaniu z tej myśli okazała się trudność niemała. Co się bowiem dziś działo w tym domu, było jej niewiadomem zupełnie. Od czasu śmierci jej matki, której powody podobno w niemałej części przypisywano szambelanowi, ustały wszelkie pomiędzy babką a ojcem Józi relacye. Józia nie wiedziała nawet napewno, czy babka żyje. Wnosiła tylko, że musi żyć jeszcze, bo przecież ze śmierci jej, jakkolwiek o zięciu swym zapomniała zupełnie, nie robionoby tajemnicy.

Kiedy się trochę chłodniej zastanowiła nad tą podróżą do babki, odwaga jej osłabiła się coraz więcej. Jakże jej ojciec musiał być tej samej staruszce niemiłym, kiedy go uznała niegodnym wszelkich bliższych z sobą stosunków! A kto wie, czy i córka nie była w równej u niej niełasce, bo czegoż to aż potrzeba, ażeby babka zaparła się swojej wnuczki? — Ale cóżkolwiekbądź, w tem położeniu trudno się tem było odstraszyć od chwycenia tego środka ratunku, który był w samej rzeczy ostatnim, niezawodnie najlepszym, a tak wiele obiecującym.

Tak myśląc, zdecydowała się na tę podróż. — Jakoż nie odwlekając długo, wzięła z sobą swoją kochaną Basię i starego kamerdynera jeszcze nieboszczki matki i wyjechała do babki.

* * *

W głębi ulicy Floryanskiej, po lewej stronie, idąc od rynku, stoi dotychczas jeszcze dom o jednem piętrze i pięciu oknach od frontu, nad któ-

rego zajezdną bramą znajduje się we framudze maleńki słoń, wyrobiony z kamienia. Nad framugą i słoniem miały niegdyś miejsce dwa herby, z których wszakże do tego czasu tylko jeden pozostał, okazujący pannę na niedźwiedziu, a nakryty koroną o dziewięciu pałkach, z której, jak zwykle, z pomiędzy rogów jelenich wylazi niedźwiedź, trzymający różę w prawicy. Z drugiego herbu pozostał tylko u góry łabędź, rozdzierający dziobem swe piersi, z czegoby można wnosić, że to był herb rodowy Scipionów, ale ponieważ tarcza sama była zupełnie zatartą, trudno to utrzymywać z pewnością. Mieszkańcy ulicy Floryańskiej nie zważali wprawdzie na herby i zwali ten dom poprostu Pod słoniem, ale to, czego my się możemy domyślać z herbów, oni wiedzieli zkądinąd i uważając dom ten za starożytną siedzibę jednej ze znakomitych rodzin polskich, nadawali mu często miano pałacu.

Dom ten był własnością i mieszkaniem Józinej babki.

I w samej rzeczy był on jedną z takich starożytności, jakie jeszcze tylko w Krakowie można napotkać. Jak zewnątrz wyglądał, nie potrzeba już opisywać — a i jego wnętrze już ze wspomnień powyższych jest dla nas łatwo domyślnem. Same tam były starożytności: starożytne sprzęty, starożytne obrazy, starożytne kobierce, starożytna papuga w jednej, a sęp osiwiały w drugiej mosiężnej klatce i najstarożytniejsza ze wszystkich Jmć Tatarkowska, wprawdzie nie w klatce, ale tak samo jej godna, jak jej przyjaciółka papuga.

Sama babka szambelanówny była to także nie

nowożytna osoba. Liczyła ona sobie lat siedmdziesiąt z okładem, miała włosy białe jak mleko i pozwijane w wielkie podwójne pukle przy twarzy, twarz pomarszczoną, prawie już babkowatą, tu i owdzie omszoną; ale pomimo to była jeszcze tak przytomną i rzeźwą, że tego zdrowia mogły jej śmiało pozazdrościć daleko młodsze od niej kobiety. Wysoka wzrostem, barczysta, silna, chodziła tak żwawo, że przechadzki jej nigdy nie były bliższe jak do rogatki; głos jej był tak donośny i silny, jak u młodego mężczyzny, a umysł jeszcze tak jasny i najczęściej tak trafny, że jej spostrzeżenia obiegały nieraz jako osobliwości po mieście. Świat ją nazywał dziwaczką, lecz niezawisły, a prawdę mówiący rozum zawsze światu jest dziwnym — jeżeli zaś w samej istocie niejedno, co z jej ust wyszło, mogło się światu wydać dziwacznem, to zato zacność, szlachetność i rodzima a religijna czystość jej charakteru była jednozgodnie i bardzo wysoko cenioną przez wszystkich. Dlatego też rzadki to dom był pod owe czasy w Krakowie, gdzieby o każdej porze najpożądańszym gościem nie była starościna Janowska, jak ją tytułowano powszechnie, czcząc w niej tym tytułem zarazem i jej poważną osobę i te dobre czasy, w których jeszcze istniały starostwa, a które ona tak żywo przypominała.

Dnia dzisiejszego siedziała starościna w wysokiem krześle, jakby na tronie, a mając nos okulbaczony okularami, zwijała amarantową bawełnę na kłębek—poczciwa zaś Tatarkowska siedziała na niskim stołku i trzymała jej motek z cierpliwością godną drewnianych krosienek.

Opodal od nich siedział jakiś nie stary jeszcze jegomość, w czarnym fraku i całkiem zresztą ubrany czarno, trzymając w rękach rękawiczki wprawdzie nie nowe, ale dosyć czysto wyprane i kapelusz także nie nowy, lecz wygładzony, jak tylko można najpiękniej. Był to imci pan Herbaciński, porucznik, a zarazem kandydat na jedną z tych figur, które odpoczywają po trudach nigdy nieodbytych, dają się tytułami obdarzać przez grzeczność, a nosząc plotki po domach i trzymając motki jejmości, karmią się w południe proszonemi obiady, a w wieczór nieproszonemi herbaty. A ponieważ w starych, pozapadanych miastach, kilkunastu takich ichmościów, w nabożnej wspólce z kilku dewotkami i staremi pannami, wywiera na opinię publiczną wpływ nieraz do tego stopnia przeważny, że nawet ludzie, zkądinąd wcale rozumni i niezawiśli, myślą tylko ich wspólną głową i czują jadowitem ich sercem, więc im się wcale nieźle powodzi: awansują wciąż w swoich tytułach, zyskują wziętość, a czasem nawet brukową sławę i nigdy im nie brakuje ani herbat, ani obiadów.

Jednak u starościny nie mieli ci ludzie osobliwszej wziętości, lubo im na niej zależało nie mało. Przyjmowała ich czasem u siebie dla krotochwili, z takiego samego powodu słuchała ich komerażów, ale mając w każdej sprawie swe własne zdanie, nietylko, że im się nigdy użyć nie dała za narzędzie do ich intryg plugawych, lecz jeszcze często temu lub owemu z nich ucięła tak ostrą prawdę w oczy, że nioboraczek języka zapomniał w gębie.

Taką mniej więcej rolę odegrał dzisiaj imć

Herbaciński. Słuchała go starościna cierpliwie, jak kogoś tam forytował w jej łaskach, a kogoś innego czernił swoim wyszlifowanym języczkiem, lecz wysłuchawszy tego plugastwa i odsapnąwszy z głębokiej piersi, rzekła do niego:

— Ale to asińdzi, jak widzę, wiesz wszystko, co się gdzie dzieje — a może nawet i to, co się nie dzieje? he? Zkądżeto asińdzi masz taki rozum? he?

— Asińdzi rozum? he? — powiedziała papuga.

Uśmiechnął się na to ślimakowatym uśmiechem imć Herbaciński i rzekł:

— Pani starościna zawsze łaskawa na mnie nad moją marną zasługę.

— Zasługę, hm! — powiedziała na to staruszka i skręciła nosem, którym umiała władać tak składnie, jak gdyby ręką lub nogą. Poczem spojrzała na niego przez okulary, a widząc, że ta przymówka jeszcze nie skutkowała, zwróciła się do Tatarkowskiej i rzekła:

— Moja Tatarkowska, idźno do Jacentego i każ mu, żeby nam zrobił kawki, a nie zapomnij doglądnąć, ażeby dodał palonej marchwi, to bardzo dobre na piersi. A asińdzi, jeżeliś na mnie łaskaw, potrzymaj mi też motek na chwilę, nim Tatarkowska powróci, bo mi bardzo pilno zwinąć tę amarantową bawełnę.

Usłyszawszy tę propozycyę, zwinął się zacny kawaler jak wąż. Nie chodziło mu o trzymanie motka—trzymać taki moteczek, patrzeć w zamglone oczy pomarszczonej babulki i prawić jej, jak jest piękną i jak jeszcze głowy zawraca mężczyznom, to

była jego najulubieńsza rozrywka—ale trzymać motek z jakie półgodziny lub więcej, usłyszeć asińdzieja z jakie sto razy, a czasem dla odmiany wasana i dostać potem za to palonej marchwi, która jest dobra na piersi — to było nad jego siły. Dlatego też się skręcił jak wąż, a chociaż powiedział przytem: — Służę jejmości — dobył zegarka i popatrzył na godzinę.

— A to co? — zapytała go starościna — pewnie się asińdzi gdzieś śpieszysz?

— Nie śpieszę się tak dalece... — zaczął mówić porucznik.

— Ale, śpieszysz się, śpieszysz—przerwała mu starościna — jeno jesteś grzecznym dla mnie, jak zawsze. Nie myślże wasan, że go chcę tyranizować...

To mówiąc, wstała i zstąpiła po wschodkach z krzesła. Nie pozostało tedy gościowi nic, jak gospodynię pożegnać; jakoż tak zrobił, całując z ukłonami jej rękę, a ona mu się także kłaniała, mówiąc:

— Bądźże asińdzi zdrów, a nie zapomnij o starościnie; zawsze tu będzie gotowa dla niego marchew palona, to bardzo dobre na piersi. A uważaj asińdzi, żebyś na psie nie wyjechał. Mandat! do nogi!

— Żebyś na psie nie wyjechał! Mandat! do nogi — powtórzyła papuga.

Wyszedł nareszcie. A Tatarkowska, jak wstała przed chwilą z krzesła, ażeby motek gościowi powierzyć, tak stała do tego momentu, trzymając motek na rękach rozczepierzonych i patrząc na starościnę.

— A ty czego tak na mnie patrzysz? — zapytała staruszka.

— Sama nie wiem, co robić — odpowiedziała Tatarkowska: — czy trzymać motek, czy iść po marchew paloną?

— Po marchew?—zawołała staruszka—oszalała kobieta, czy co? A widziałaś ty kiedy, żebym ja marchew piła, miast kawy?

— Jejmość tak przecie kazała.

— Cha, cha, cha! — śmiała się ze swego konceptu staruszka—o moja Tatarkowska, jakże ty sobie serdecznie głupia.

— Jakże głupia! — powtórzyła papuga.

— Cicho papuga! — zawołała staruszka — chociażeś ty mi daleko milsza, niż tacy goście. Prawda, papuziu?

— Prawda, prawda — wymawiała jak najwyraźniej papuga.

Tak rozmawiając z papugą, starościna stała przy klatce i patrzała na swego ulubionego ptaka, a zażywszy po trzykroć tabaki, rzekła dobitnie:

— Ptak, a ma rozum, a ludzie go się nauczyć nie mogą.

— Nie wielkito tam rozum u tej papagi—rzekła Tatarkowska.

Uśmiechnęła się na to starościna — a wtem jakiś powóz zaturkotał w ulicy i zatrzymał się przed bramą Podsłonia.

— Wszelki duch! znowu goście? — zawołała staruszka i wyjrzała przez okno.

— Cóż to takiego?—mówiła dalej—jakiś powóz

opakowany? ktoś się omylił. Idź-no, Tatarkosiu, i powiedz, że to nie oberża.

Wyszła Tatarkowska — ale po chwili wróciła jakoś dziwnie zmieszana.

— Proszę jejmości...

— No, cóż tam?

— Mówiłam, ale wysiadają taki koniecznie.

— Poszaleli, czy co? A może to kwaterunek? Idź-no raz jeszcze i popatrz.

Wyszła powtórnie Tatarkowska — ale teraz już wpadła do komnaty i zawołała:

— Proszę jejmości, to goście. Panna szambelanówna z Przewoźnik.

— I szambelan? — spytała zmienionym głosem starościna i wyprostowała się przytem jak żołnierz.

— Ja nie wiem.

— No, idź-no, popatrz — zakomenderowała starościna stanowczym głosem — i powiedz, że moją wnuczkę przyjmuję, ale pana zięcia nie. Niel rozumiesz mnie?

To rzekłszy, zażyła po kilkakroć silnie tabaki i została w swojej postawie na środku komnaty.

W ten moment weszła Józia. Biedna dziewczyna. cała zmieszana i drżąca, jak listek na drzewie, weszła chwiejącym się krokiem do tego niepewnego dla niej przybytku i nie wiedziała na razie, czy ma się zbliżyć do babki, czy przy drzwiach pozostać. — Dopomogła jej w tem starościna, bo ją zatrzymała swym wzrokiem, zapytując zarazem surowo:

— Czy jest tu także i ojciec?

— Nie — odpowiedziała Józia cichutkim głosem—tylko ja sama.

— Sama?—rzekła na to staruszka ze zdziwieniem. — A cóż to asińdźkę spowodowało do takiej waryackiej podróży? he? czy będziesz dawać koncerty w Krakowie? a możeś się do Paryża wybrała? he?

Józia się rozpłakała jak dziecko.

— No, mówno—powiedziała jej starościna trochę zmiękczonym głosem — czemużto wojażujesz tak sama? gdzież jest twój ojciec?

Na te słowa Józia się rozszlochała jak gdyby w spazmach i sama zapewne nie wiedząc, co się z nią dzieje, rzuciła się do nóg staruszce.

Podniosła ją babka z ziemi, utuliła cokolwiek, ale badała dalej.

Dowiedziała się wreszcie pomału, że między ojcem i córką przyszło do takich nieporozumień, iż wskutek nich szambelan wyjechał na zawsze, zostawiając ją samowładną panią na Przewoźnikach.

Zaczem zażyła tabaki, pomyślała przez chwilę, twarz jej się rozpromieniła, a potem rzekła:

— Patrzajże, jaka heroina z asińdźki! Ale to trzeba było zrobić natenczas, kiedy cię ojciec zawiózł do Lwowa i kazał tańcować z Niemcami. Przepędziwszy dwa lata na takiej targowicy wdzięków kobiecych, dzisiaj możeś już nawet tego nie warta, ażebym cię wzięła w moją opiekę?

To mówiąc, patrzyła dziwnie bystremi oczyma na wnuczkę.

Ale te słowa uderzyły w biedną, cierpiącą dziewczynę tak silnie, że zbladła jak ściana, ciemno jej się zrobiło w oczach i spadła z nóg, jakby ją kosą kto podciął. Szczęściem chwyciła ją babka

w swoje objęcia i przy pomocy Tatarkowskiej zaniosła na krzesło. Przyniesiono w ten moment octów i wódek i otrzeźwiono ją w krótkiej chwili zupełnie.

Ciężką przeszła próbę nieszczęśliwa dziewczyna, ale nie było to dla niej bez korzyści. Od tego momentu bowiem babka zrobiła się dla niej wcale inną, przycisnęła ją do swej piersi, wycałowała z czułością, a uroniwszy także niejedną łzę nad nią, ciągle jej powtarzała:

— Bądźże mi, moje dziecko, spokojną. Nie porzucę cię, nie opuszczę i będę stalowym puklerzem dla ciebie. Bóg jeszcze jest dosyć łaskaw na ciebie, kiedy cię z rąk tego człowieka wyzwolił. On twoją matkę w grób wpędził przed czasem, onby i ciebie był posłał za matką. Albo może jeszcze i gorzej...

Tak mówiąc, uspokoiła sierotę zupełnie, poczem mówiła wesoło:

— A jakeś mi pięknie wyrosła, jak wyładniała! pokażże mi się przy oknie. Zaprowadziwszy ją zaś do okna, popatrzyła jej w oczy i rzekła:

— A jaka Niemka! czysto jak ojciec.

— A jaka Niemka! — powtórzyła Tatarkowska, przypatrując się jej z drugiej strony.

— A jaka głupia! — rzekła papuga.

Usłyszawszy to Józia, przestraszyła się tego głosu, ale starościna się roześmiała, tłómacząc jej:

— To nie do ciebie, to do Tatarkowskiej.

Zaczem i Józia się uśmiechnęła — a starościna tymczasem zaczęła dyspozycye wydawać:

— Idźno, Tatarkosiu, i każ rzeczy poznosić, powóz zatoczyć, konie umieścić i przygotować wie-

czerzę dla ludzi. A nam każ dać świec i co jeszcze: kawy, czy herbaty? Ale co to się pytać? Przecie panna światowa, każ więc nastawić samowar.

Kiedy zaś przyniesiono świece i zastawiono herbatę, starościna kazała najpierwej papugę wynieść do antykamery, a potem powiedziała Tatarkowskiej dobranoc, co było już największą dystynkcyą dla Józi, rzadko komu udzielaną ze zwyczajnych gości. Wtedy też babka zasiadła z wnuczką i kazała jej się spowiadać jak najdokładniej ze wszystkiego, co od trzech lat jej się zdarzyło. Uradowana takiem przyjęciem Józia spowiadała się jakby przed księdzem. Słuchała ją pilnie babka, wypytywała o niektóre szczegóły, lecz często także i przerywała, ażeby jej swoich uwag udzielić. Natenczas tak jej mówiła:

— A to asińdźka chyba oszalała z kretesem, kiedy kochała Karola prawdziwie i z własnego popędu serca, a potem z namowy ojca i brata porzuciła go. Grafiątko ci się jakieś trafiło? a gdyby książę? a gdyby król? — gdzież twoje serce było natenczas? a gdzie sumienie?—Kto to tak robi? to furfanterya, balamuctwo, zepsucie. No, ale wyleczę ja ciebie z tej francuzczyzny!

Kiedy zaś Józia opowiedziała, co się stało z tymi konkurentami, że jeden padł na suchoty, a drugi za granicę wyjechał, staruszka rzekła z zapałem:

— A widzisz, aśćka, co się to stało. Kto dwie sroki za ogon chwyta, żadnej nie złapie. Masz zaraz karę. A kara słuszna, guz sprawiedliwy, boś go sama szukała. Ba, ale to na tem nie dosyć. Kto to wie, co z tego jeszcze dalej wyniknie. Bo to wiesz

aśćka, że kiedy się panna tak zbakieruje jak ty, to nie trudno jej o to, ażeby została panną na zawsze. Dużo konkurentów, choćby poodprawianych widocznie, to dla każdej panny nie dobrze—a cóż dopiero dla takiej, która tańcowała z Niemcami? Asiúdźka głupstwo zrobiła wierutne. No, i gdzież-to jest teraz ten twój pułkownikowicz? he?

— Ja nie wiem—odpowiedziała Józia, spuszczając oczy ku ziemi.—Powiadają, że jest w Paryżu.

— Hm! — rzekła na to staruszka — takiego zacnego kawalera odpędzić! A musi być zacnym, ani wątpienia, bo oprócz tego, co o nim słyszę od ciebie, znam ja jeszcze i jego gniazdo. Znałam ś. p. ojca, zuch to był człowiek za młodu, potem żołnierz wyborny, a wreszcie obywatel stateczny, zamożny, szanowany powszechnie. I żonę jego znałam przed laty, poznałam ją jeszcze niegdyś, Boże odpuść! pod Blachą, lecz widywałam i później, w Tarnowie i tu w Krakowie za rzeczypospolitej — bardzo to zacna matrona. Syna takich rodziców odprawić z kwitkiem, to mogło się tylko w szambelańskiej wyroić głowie.

To powiedziawszy, zażywała tabakę, patrząc na swoją wnuczkę i myśląc. Potem zaś rzekła:

— No, ale trza jakoś temu radzić. Gdzie nie można przeszkodzić, tam trzeba podleźć — a Paryż przecie nie na księżycu.

Tak biedna Józia znalazła przecież nakoniec opiekę, i to opiekę wyborną, bo babka, jak to po niej widać już na pierwszy rzut oka, była nietylko matroną zacną, doświadczoną i pełną wytrawionego rozumu, lecz oprócz tego jeszcze dosyć surową i ry-

gorystką nieubłaganą, czego wszystkiego do zupełnej naprawy właśnie było potrzeba Józi. Nad to wszystko wiedziała jeszcze ta zacna babka jak najdokładniej, czego potrzeba — i lubo się przekonała, że jej wnuczka nie jest jeszcze tak bardzo popsutą, ażeby nad nią rozpaczać, wzięła ją jednak w ryzy tak ścisłe, jak to tylko dawnemi czasy umiano. Dwudziestoletniej pannie nietylko nie wolno towarzystwa dla siebie wybierać, tu iść, a tam nie iść, ale ani się ubrać nie można było wedle swojej fantazyi, ani książeczki żadnej przeczytać, póki jej babka nie zcenzurowała i zaledwie pomyśleć co można było swobodnie, bo staruszka usiłowała kierować nawet jej najtajemniejszemi myślami.

Nie bardzo to było przyjemnie takiej światowej pannie i wypieszczonej w swobodzie, wstawać rano przededniem i iść na roraty, potem słuchać mszy świętej, czasem w bardzo dalekim kościele, potem odwiedzać zakłady dla chorych i ochronki dla sierot, któremi opiekowała się starościna, a wieczorem czytywać jakieś nudne historye, jak Jagiełło bił Krzyżaków, a dzielny Sobieski Turków albo Tatarów — ale pomału przyzwyczaiła się Józia do tego. Co więcej, zaczęła nawet z czasem znajdować w tych zajęciach przyjemność, zaczęła trochę innemi oczyma i innem sercem zapatrywać się na świat i powołanie kobiety — a chociaż to i owo zdało jej się mniej zabawnem albo i nudnem, to znowu ta miłość, ta serdeczność, ta szczera, pełna uroku prostota, jaką ta zacna babka otaczała zawsze i ją i jej wszystkie zajęcia, tak ujmowała młodą dziewczynę, że mimo tylu świetnych rozrywek, jakich doznała

przez swoje życie, przecież musiała sobie to przyznać, że jej nigdzie tak dobrze nie było jak tutaj. Weszła tedy Józia już niewątpliwie na dobrą drogę—i o to już tylko chodziło, aby na niej wytrwała i nie zbaczając z niej ani na chwilę, stała się wreszcie godną takiej przyszłości, jaka się słusznie należy zacnej i poczciwej dziewczynie.

Ale o to wszystko jak najusilniej starała się babka.

Tak będąc zdania, iż najrozumniejszą byłoby rzeczą cudzych bogów nie szukać, tylko zawiązać napowrót rozerwane stosunki z Karolem, usiłowała w sposób zręczny i odpowiedni obustronnej godności przesłać mu o tem wiadomość, co się stało z Józią i co się teraz z nią dzieje. Przy tak gęstych stosunkach pomiędzy Polską a Paryżem zdawało się to nie być zbyt trudnem—jak babka miała nadzieję, że się to zrobi. Ale się nie zrobiło, jak to już wiemy. Czy temu była winna zbyteczna oględność babki, czy niesłowność, albo niedbalstwo jej powierników, nie wiemy — ona sama była zdania, że taka jest wola Boża.

— Asińdźka musiała nabroić nie mało—mówiła ona wtedy do wnuczki — kiedy się nam nawet taka drobna rzecz nie udaje. Trzeba się poprawić, trzeba się modlić, bo jeszcze gniewny jest Pan Bóg na ciebie.

Tymczasem zaś za nadejściem zapust wprowadziła swoją wnuczkę w świat tańcujący. Wiedziała ona o tem, że w tem młodem sercu za nadto żywo rozbudziła się pamięć Karola, ażeby się jej tak łatwo mógł kto inny podobać.

— Nie trzeba drzwi szczęściu zamykać — ani tamować przeznaczenia Bożego.

Tak wprowadzała ona wszędzie swą piękną wnuczkę, gdzie tylko drzwi były otwarte, od starożytnych pałaców począwszy aż do rodzin przyjezdnych, dających bale w hotelach. Kazała nawet u siebie dawną zamkniętą wielką salę odnowić i wydała dwa tańcujące wieczory. Poczciwa babka robiła z siebie wszystko, co mogła, ażeby opuszczonej sierocie drogę do szczęścia otworzyć. Ale i to jeszcze nie skutkowało. Józia się podobała ogólnie i nadzwyczajnie—ale tylko żonatym. Młodzież, która tam była, jedna należała do rodzin tak znamienitych, że taka prowincyonalna szlachcianka była dla niej partyą za małą; druga pochodziła z gniazda tak skrupulatnego, że stosunki z takim szambelanem uważała dla siebie za nieprzyjemne i niepożądane— trzecia, byli to, jak zwykle, studenci, którzy nazajutrz po balu musieli wracać do szkoły. Cały tedy skutek pojawienia się Józi w tamtejszych salonach skończył się na admiracyi i komplementach.

Bardzo się tem frasowała poczciwa babka. Mówiła o tem wiele, rozprawiała bez końca, a konkludowała zazwyczaj słowami:

— Ale to są takie panny na świecie! Oh i nie jedna, ileż sama ich zapamiętam! Piękne są, najpiękniejsze ze wszystkich, wychowane wybornie, nie bez posagu i zresztą bez żadnego zarzutu—podobają się ogólnie, tańcują zawsze aż do dostania suchot, a grzeczności sypią się na nie jak grad... ale męża „pasz“, jak mówi Kochanowski. A dlaczego?... albo ja wiem?... Ale nie jest to bez przyczyny. Już tam

jest pewnie w nich coś takiego, co mężów od nich odgania. Pokory, moja mościa panno! pokory, skromności a kobiecości, w tem jeszcze reszta nadziei.

— Ale co się tem babcia tak bardzo frasuje!— mówiła na to Józia wesoło. — Pójdę zamąż, to dobrze, a nie, to drugie dobrze. Przecież nie ja pierwsza ani ostatnia, która starą panną zostanie. Potrafiły to inne, potrafię i ja się obejść bez męża. Czy to już śmierć? czy to choroba?

— Ani śmierć, ani choroba — mówiła babka— ale rzecz nie do rzeczy. Dolegliwy wyjątek, tak jak garb, ochromienie albo ślepota. Nie życzę tego nikomu. No, ale co z tem robić? trzeba jechać na wieś.

W samej istocie zbliżyła się już teraz ta pora, kiedy trzeba było do Przewoźnik wyjechać. Przedewszystkiem bowiem nadeszła wiosna, czas najważniejszy dla gospodarstwa, którego nie można zaniedbać bez szkody. A potem już dla tego samego trzeba było do Przewoźnik wyjechać, ażeby je wziąć w posiadanie „de facto", bo inaczej mógł tam zjechać szambelan, człowiek taki, któremu pod żadnym względem nie mogła zaufać babka.

Z wiosną tedy obiedwie damy wyniosły się na wieś.

Trudno to nawet opisać, jaką ofiarę przyniosła ta zacna babka swej wnuczce, wyjeżdżając z nią na wieś, a jeszcze do tego do Przewoźnik, tak dla siebie niemiłych. Już bowiem to samo, że opuszczała to ulubione przez siebie miasto, w którem lat czterdzieści z okładem prawie nieprzerwanie przeżyła, te ukochane kościoły, te zakłady i ochronki dla sierot, tę ciszę poważną swego zamkniętego

Podsłonia, było dla niej niewysłowioną przykrością. A cóż dopiero powiedzieć o tem, że musiała jeszcze raz w swojem życiu te Przewoźniki obaczyć, które obejmowały w sobie tak gorzkie dla niej wspomnienia? Tu bowiem, przed laty czterdziestu, na owej drodze rozstajnej, prowadzącej do Starego przewozu, jej mąż nieboszczyk spadł z konia, obojczyk złamał i skonał w jej objęciach w tem miejscu. W dwadzieścia lat potem, pomiędzy temi gęstemi zaroślami, które dziś parkiem objęte zostały, jej syn jedyny, dwudziestokilkoletni młodzieniec, padł w pojedynku od kuli jakiegoś awanturnika Niemca, który się błąkał po Polsce. Tu wreszcie, lat temu dziesięć, w dzisiejszej sypialni Józi, zgasła szambelanowa, najukochańsza jej córka, ostatnia dusza jej pokrewna na ziemi. Przewoźniki były dla starościny jak niby puszką Pandory, z której wszystko złe wyszło, jakie ją tylko spotkało w tem życiu. Przewoźniki, była to w jej pamięci ziemia przeklęta, gdzie każdy głaz, każde drzewo, każda droga lub ścieżka przemawiała do niej jakiemś nieszczęściem.

Ale nie wspominała nic o tem swej wnuczce— i pojechała.

Wielka to była z jej strony odwaga — poświęcenie bez granic.

Jakoż istotnie straszna to była pierwsza noc, którą starościna w Przewoźnickim pałacu przespała. Zdawało jej się, że widzi swojego męża, jak się koń pod nim wspina, jak spada z niego i głowę sobie druzgocze o głaz przydrożny. Widziała syna swojego z zranioną piersią, z krzykiem boleści, z śmiertelną twarzą, padającego na ziemię. Szambelanowa

nieboszczka błądziła przez całą noc po pustych pokojach pałacu, jęcząc i skarżąc się na te cierpienia, które ją zmiotły z tej ziemi. Biedna staruszka przecierpiała męki piekielne.

Nazajutrz rano zastała ją Józia klęczącą przy łóżku i zatopioną w modlitwie. Powstawszy z klęczek była blada i dżąca i mimo całej trzeźwości swego rozumu, zaledwie w połowie przytomna. Józia się tem przestraszyła niezmiernie i pytała jaknajusilniej o przyczynę tej zmiany — ale staruszka milczała, tylko prosiła, aby mogła być na mszy w kościele. Posłano po księdza, była msza a starościna słuchała jej z nabożeństwem. Po mszy dopiero oprzytomniała cokolwiek—i dopiero natenczas opowiedziała wnuczce, jakie boleści ją przytłumiły tak silnie, że im się poddać musiała.

Wiadomość ta dziwnie głębokie sprawiła wrażenie na Józi. Jakoż znowu inaczej jej się ten świat przedstawił, który na każdem miejscu zawiera w sobie tyle tajemnic— inaczej się przedstawiła jej własna drobniuteńka osóbka i jej drobniutkie dolegliwości—inaczej także się przedstawiła ta babka, tak niby zdrowa, silna, wesoła, a przecież dźwigająca na swoich barkach takie ogromy boleści. Małe to na pozór zdarzenie było jednak niezmiernie nauczającem dla młodej dziewczyny, otworzyło jej oczy na prawdy jeszcze dotychczas nieznane, wstrzęsło jej sercem z tej strony, z której jeszcze było nietknięte, a nadewszystko sprawiło ten skutek, iż odtąd zaczęła ze czcią tylko patrzeć na babkę, zapominać przy niéj zupełnie o sobie, a wszystkie jej słowa połykać z żarliwością, jak słowa Pisma Świętego.

I smutno było przez pierwszych kilka dni w Przewoźnikach.

Z czasem wszakże wypogodziło się niebo i tutaj, bo i staruszka pomału odzyskała dawną swą trzeźwość i równowagę umysłu, przyczyniły się jeszcze do tego partykularne powody. Tak w parę dni po przyjeździe pań z Krakowa przyszli starsi ludzie z gromady, ażeby im oddać swój pokłon, a byli to sami tacy, którzy jeszcze zapamiętali starościnę tu mieszkającą. Pemiędzy nimi pierwsze zajmował miejsce stary Bernat ze Starego przewozu, który też głos zabrawszy za pozwoleniem jejmości, przypomniał jej jakby żywo te czasy, kiedy ona tutaj mieszkała i z królewską hojnością rozpościerała swą dobroczynną opiekę nad poddanymi. Im gorsze potem następowały chwile, których osobliwie za panowania szambelana wcale nie brakło, tem droższem tamte dobre stawały się przypomnieniem. Bernat to umiał powiedzieć i nie żałował swojej wymowy. Przecież to przypomnienie lat młodych, jakkolwiek zachmurzone jednem i drugiem nieszczęściem, nie pomału weseli serce i ożywiająco wpływa na umysł, choćby jak przytłumiony. Toż i staruszka rozweseliła się z tymi ludźmi, odżyła częścią swojej własnej przeszłości i znacznie się na duchu podniosła.

Przyszły potem gospodarskie zajęcia, któremi starościna bardzo się żarliwie zajęła, a to nie tylko dlatego, że się niemi zająć było potrzeba, ale że na każdy wypadek chciała w nie wdrożyć także i Józię. I nie żartowała staruszka z tem wcale. Trzeba było wstawać rano ze wschodem słońca

i rozporządzić dniem całym, trzeba było wiedzieć, co się dzieje w każdym kąciku, potem wyjść osobiście z kluczami w ręku do spiżarni i być przytomną wydawaniu, przed południem trzeba było w pole wyjechać, ledwie się obiad skończył, zasiąść do załatwienia korespondencyi i interesów bieżących, a w wieczór siąść przy stoliku i rezultaty całego dnia pozaciągać w regestry. Czasem nie było przez cały dzień takiej godziny, w którejby można było spokojnie pograć na fortepianie, książkę czytać lub haftować na krosnach, czasem trzeba było wstać od kawy, od obiadu i od herbaty, ażeby zadość uczynić tłoczącym się zatrudnieniom. A oprócz tego trzeba było wiedzieć, jak się kto zachowuje pod każdym względem, z księdzem proboszczem nieraz bardzo obszerne odbywać narady, szpitalikiem się trudnić, który babka urządziła natychmiast, organizować małą dla sierot ochronkę, administrować apteczką, chorych odwiedzać i Bóg wie jak wiele jeszcze takich i tym podobnych zaopatrywać zatrudnień. A musiało się to wszystko dziać jak w zegarku i nie można było niczego zaniedbać, bo babka była po staroświecku surową i można było „kpa dostać“ od niej za lada marną drobnostkę. Nieraz o małą rzecz takiego narobiła hałasu, że wszyscy słudzy struchleli, a lubo nigdy się to nie zdarzyło, żeby kogo kazała karać, jak postem i spowiedzią przed księdzem, przecież wszyscy jej się bali jak ognia i pełnili swą służbę jak na komendę. Ale też za to każdy był okryty i syty, wszyscy zadowoleni, a czasu na rozrywki nie brakło.

Pod taką czynną i surową opieką, oczywista

rzecz, że z Józi zrobiła się inna kobieta. Praca, chociażby nizka i pospolita, zawsze doskonali człowieka i wywiera na jego usposobienie moralne wpływy najzbawienniejsze. Jego rozsądek się czyści, umysł nabiera powagi, dusza hartu, a serce, wyrabiając w sobie samorodne i odpowiednie naturze uczucia, uwalnia się od próżności i egzaltacyi, a staje się tem zdrowem ziarnem w duszy człowieka, z którego wykwitają wszystkie jego dobre przymioty, cnoty i wieczna młodość, niespożyta do grobu. „Praca, jest to niewyczerpane źródło pociechy, niezawodne lakarstwo na wszystkie dolegliwości, najskuteczniejszy środek poprawy". Kto jeszcze jest w stanie wziąć się do rzetelnej, sumiennej pracy, ten nie powinien o sobie rozpaczać. Praca też wyleczyła Józię zupełnie.

O! jakże ona innem dziś okiem zapatrywała się na te czasy, które w takiej niezacnej, bo prawie występnej swawoli przepędziła we Lwowie. Jakże musiała się wstydzić sama przed sobą za swoje owoczesne uczucia, pojęcia, wyobrażenia! Nie zdołała dziś nawet zrozumieć, jak mogła sobie upodobać w życiu tak lekkiem, próżnem, nijakiem—a ze zgrozą tylko przypominała sobie swoje zachowanie się względem Karola. Przy takich zmianach, rzecz oczywista, że również innego nabrała wyobrażenia o powołaniu kobiety. Przypomniały się, jak żywo czasy jej półdziecięce, chwile, spędzone w chatce Bernata, jej ówczesne pojęcia, zdania. przeczucia— i obaczyła z zadziwieniem, że wszystko to, .co się wówczas znajdowało w jej umyśle i sercu, było zdrowe i zacne, choć może nie zupełnie świadome—

do tego też wszystkiego starała się jaknajusilniej powrócić. Dopomogła jej babka, a Pan Bóg pobłogosławił—i tak się stało, że tamte lata, które przeżyła w obłędzie, zapadły w wiekuistą pomrokę jak sen zapomniany, a teraźniejsze jej życie poczęło się rozwijać z tego samego wątku, który Bóg włożył w jej duszę, a nie zepsuli źli ludzie. I jakoś wszystko, złem doświadczeniem nabyte, bezpowrotnie przepadło — a wszystko dobre, wrodzone i naturalnym sposobem rozwinięte lub wykształcone wróciło. Tak przepadła chorowita jej bladość, przepadły boleśne a niespokojne marzenia o rzeczach niedoścignionych, przepadła próżność, żądza błyszczenia i wszelkie samolubne rachuby — a powróciło zdrowie duszy i ciała, szczerość, otwartość, prostota, skromność i pokorne poddanie się boskim wyrokom, których żadne niecierpliwe miotania nie zdołają nigdy odmienić. Józia stała się ową skromną, zacną, poczciwą, prostą, a w swej prostocie przecież wspaniałą, polską dziewicą, o której marzą serca wszystkich poczciwych młodzieńców i która staje się z czasem tą naszą nieporównaną żoną, matką, obywatelką, żyjącą tak nieśmiertelnie w naszaj rodzimej tradycyi i z łaski Bożej żyjącą jeszcze także na ziemi.

Widząc tak błogie skutki swoich zabiegów, nie pomału się tem cieszyła babka. Nie rozwodziła się nad tem nazbyt szeroko wobec swej wnuczki, bo była tego staroświeckiego zdania, że nigdy nienależy dzieci psuć pochwałami; ale przecież niejednokrotnie wydała się ze swoją pociechą, to całując swą ukochaną wnuczkę nadto serdecznie, to spuszczając się

coraz częściej na jej zdanie, to nawet czasem mówiąc wyraźnie:

— Otóż tak, mościa panno, to lubię. Po woli Boskiej, a nie po ludzkiej, po polsku a nie po francuzku, z modlitwą na ustach, w pracy od świtu do nocy a z sercem otwartem dla wszystkich, to lubię. Tak też się nigdy nie zbłądzi i zajdzie się łatwo do jakiego zacnego celu. A jeżeli się nigdzie nie zajdzie, to przynajmniej to, czego się nie uzyskało na ziemi, z pewnością uzyska się w niebie. Lecz ja mam nadzieję, że na tem jeszcze się coś zyską, jeszcze czas na to, a teraz godzi się już mieć i jaką taką nadzieję.

Takie pochwały babki były najwyższem szczęściem dla Józi.

Tymczasem na takiem życiu, na pozór niby dość jednostajnem, lecz przeto nadzwyczajnie rozmaitem w drobnostkach, mijały lata. Józia tak się przyzwyczaiła do tego życia, że nie pragnęła żadnej odmiany. Ale babka, przyzwyczajona w mieście do ustawicznego odświeżania się cudzemi myślami, nie mogła przestać na samych książkach i gazetach. Życie zresztą na wsi, bez żadnej styczności ze sąsiadami, nietylko jest arcy nudnem, ale trąci zazwyczaj dziwactwem. Bardzo licznych stosunków sąsiednich nie pragnęła staruszka, ale chciała mieć stosunki takie, któreby jej sprawiały przyjemność. Na nieszczęście okolica ta nie miała zbyt licznych sąsiedztw, a te które były, nie przenosiły nawet najzwyklejszej pospolitości. Pomimowoli tedy musiała ona zwrócić swoją uwagę na pułkownikową, którą znała niegdyś ze strony najlepszej, a miała dziś

prawie w najbliższem sąsiedztwie. Względem odwiedzin u niej należało niby zachować jakiś skrupuł— ale Karol był za granicą. Nie zdawało się zresztą starościnie, ażeby dlatego, że tam kiedyś coś było zaszło pomiędzy Karolem a Józią, o czem nawet nikt nic pewnego nie wiedział, wyrządzać taką niesprawiedliwość pułkownikowej, i bywać wszędzie, a ją omijać. Byłoby to więc nawet wprost sprzecznem z widokami, których się może już wcale nie miało, ale których się przeto nie odrzucało. Dość, że po długich naradach skończyło się na tem, że starościna sama bez Józi pojechała z odwiedzinami do Zawisłocza. Pułkownikowa odwiedziny oddała, a tak jaknajzupełniej naturalnym sposobem zawiązały się bliższe stosunki pomiędzy temi domami.

Matka Karola z początku, wierna swoim przesądom, nadzwyczaj obojętnie zachowała się względem Józi. Ale już najpierw nie mogła się w takiej obojętności uchować względem jej babki, która była matroną usposobień przedziwnych i swym charakterem otwartym a zacnym w krótkim czasie zupełnie ją sobie podbiła. A potem, przypatrując się Józi tak często i zblizka, nie mogła się na niej nie poznać, przyczem ustępując codzień po trochu ze swoich przeciwko niej mianych uprzedzeń, pomału całkiem się ich pozbyła. Tak przyszło nareszcie do tego, że pułkownikowa zawiązała jak najpiękniejszą przyjaźń ze starościną, a Józię tak pokochała, iż po swym synu nie znała nikogo na całym świecie, któryby jej tak strojnie przypadał do serca, jak ona. Natenczas też nieraz sobie pułkownikowa myślała: jaka to szkoda, że sprawa ta tak nieszczęsny wzięła

kierunek; jakżeby syn jej mógł być szczęśliwym! jak ona szczęśliwą! ileby szczęścia mogło być w całym ich domu! Lecz o tem wszystkiem, tak przed babką jak i wnuczką milczała—i tak minął czas aż do ostatniego Nowego Roku.

Natenczas, jak to już wiemy, opadły były pułkownikową owe gospodarskie kłopoty, które pomimo woli sprowadził Skiba. Zdarzenia te tak ją głęboko zajęły, że się zgryzła śmiertelnie i prawie całkiem upadła. Rzeczy te nie były niewiadome w całem sąsiedztwie, a tem mniej w Przewoźnikach. Sporządziły też one tam wcale nie mniejszą zgryzotę. Osobliwie zaś zgryzła się Józia temi nieszczęściami, bo nie tylko, że pułkownikową kochała jak matkę, lecz nadto jeszcze był jakiś tajemny głos w jej sumieniu, który jej mówił, że w gruncie rzeczy ona to stała się tych wszystkich zdarzeń przyczyną. Zgryzota ta doszła nareszcie u niej do tego stopnia, iż postanowiła, chociażby siebie samą poświęcić, a pułkownikową ratować. Ratunek ten był dla niej nawet wcale nie trudnym, bo miała nie tylko Przewoźniki zupełnie czyste, lecz mając zeń sześć razy tyle dochodów ile wydatków, miała jeszczcze i gotowiznę. Z postanowieniem tem tedy zwierzyła się babce. Babka ją oczywiście uściskała serdecznie za tę poczciwość—i pojechała sama z tą ofiarą do Zawisłocza.

Ale pułkownikowa, lubo tak ciężkie ją przygniatały okoliczności, lubo już prawie ginęła, przeciwko wszelkiemu spodziewaniu, ani sobie mówić o tem nie dała i ofiarę tę odsunęła stanowczo. Uczyniła ona to oczywiście dlatego, iż wtedy już była napisała do syna i była pewną, że jak tylko przy-

jedzie najniezawodniej temu zaradzi a przyjęcie ofiary takiej od osób obcych było dla niej, kobiety wyniosłej sercem, a może nawet troszeczkę dumnej, upokorzeniem takiem, któremu się oprzeć na żaden sposób nie mogła; ale również, rzecz oczywista, że starościna tych przyczyn odpowiedzi odmownej nie zdołała odgadnąć. Przeciwnie nawet, wytłómaczyła ona je sobie w ten sposób, iż pułkownikowa dlatego tylko mogła tej ofiary nie przyjąć, iż się w niej domyślała jakiejś tego rodzaju rachuby, której urzeczywistnić nie miała wcale ochoty. Domysł ten, lubo zupełnie fałszywy, napełnił starościnę niewysłowioną goryczą; smutna i zachmurzona powróciła do domu i ferowała wyrok krótki a węzłowaty.

— Dopóki żyję, moja noga tam nie postanie.

Uczuła pułkownikowa całą drażliwość swojego położenia względem Przewoźnik, po odsunięciu tak szlachetnej ofiary i zaraz dnia następnego była tam w odwiedziny, ale już to nie pomogło. Starościna była dla niej uprzejmą, lecz chłodną i taką pozostała do końca. Przykro to było Józi, usiłowała nieporozumienie to koniecznie naprawić, ale i to nie pomogło. Babka mówiła:

— Nie gniewam się na nią, nie mówię o niej nic złego i nie przeszkadzam ci wcale do żadnych związków z tym domem; ale już mnie tam serce nie ciągnie.

Stanęło tedy na tem z początkiem Nowego Roku, iż stosunki między temi obydwoma domami bardzo zobojętniały: odwiedzały się te panie nawzajem co kilka tygodni, zachowywały względem siebie to wszystko, czego przyzwoitość wymaga, ale

prócz tego nic więcej. Dalsze wypadki, stawiające pułkownikową w położeniu daleko przykrzejszem, zniewoliły ją do zaniechania wszelkich relacyi z sąsiedztwem, a tak przyszło do tego, że się te panie nawet przestały widywać. Cierpiała nad tem cokolwiek poczciwa babka, ale daleko więcej cierpiała Józia: była smutna, zgryziona i z niewymowną trwogą spoglądała na Zawisłocze, któremu w całem sąsiedztwie najfatalniejsze wróżono losy. Nie wiedziała natenczas, iż do tych fatalności najwięcej może przczynial się pośrednio jej własny ojciec, a wiadomość o tem byłaby ją może wtrąciła do grobu...

Tak stały rzeczy z początkiem wiosny.

Aż dnia jednego przybiegła Józia do babki, stanęła przed nią, była tak pomieszana, nieprzytomna, zdrętwiała, że nie umiała słowa przemówić.

— Cóż to takiego?—spytała babka, wypuszczając robotę z ręki i patrząc na nią przez okulary.

— Ach! moja babciu... — zaczęła Józia, ale jej głos zamarł na ustach.

— Cóż to jest? cóż to? ty mnie przestraszasz.

— Karol przyjechał — przemówiła nareszcie, oddychając z głębi ściśnionej piersi, jak gdyby największy ciężar zrzuciła z serca.

— Karol przyjechał? — przemówiła starościna przeciągle — w sam czas przyjechał, zobaczymy, co zrobi.

Na tę odpowiedź, która się jej dziwnie lodową wydała, niecierpliwa dziewczyna machnęła tylko ręką i z pośpiechem odeszła.

Ale nie była babka tak lodowatą, jak się jej

zdawało. Owszem, zrozumiała ona swą wnuczkę jak najdokładniej, odprowadziła ją do drzwi wilgotnemi oczyma, a po jej odejściu rzekła do siebie:

— Biedna dziewczyna!

Wszystko, co odtąd działo się w Zawisłoczu wiedziano w Przewoźnikach, dzień za dniem. Józia modliła się Panu Bogu tak gorąco, tak rzewnie, ażeby nie opuszczał Karola i dał mu odwagę i siłę do wydobycia swego majątku z przepaści, że nieraz na modlitwach trawiła wieczory. Nie miał natenczas Karol gorliwszego pośrednika pomiędzy sobą a niebem, jak Józię. Ale pośrednictwo to żadnego nie odnosiło skutku: Pan Bóg tym tylko pomaga, którzy się własną ratują pomocą, a jego proszą tylko o błogosławieństwo dla swojej pracy.

Tak przyszła nareszcie wiadomość, że Karol zawarł umowę sprzedaży z Kackim. Józia padła jakby piorunem rażona i utraciła przytomność. Wszystkie jej widoki, wszystkie nadzieje, wszystkie pociechy, jakich się jeszcze spodziewała w tem życiu, bezpowrotnie przepadły!

— Oh! gdyby był tylko człowiekiem — wołała wtedy śród łez i boleści — gdyby tylko swą ojcowiznę, gdyby tylko matkę ratował, a niechby o mnie zapomniał, niechby mnie nie znał w życiu, nic nie chcę więcej! Ale i tego nawet nie jestem godną...

I zachodziła się od płaczu i całe noce trawiła we łzach...

Pocieszała ją babka, jak mogła, ale cóż w takim bólu pocieszy?

Zerwał się wreszcie Karol, otrząsł się ze swego

rozpaczliwego lenistwa, włożył jak Atlas swoją ziemię na barki i poszedł w drogę poświęcenia i pracy.

Na tę wiadomość Józia jak gdyby się odrodziła.

Przybiegła z krzykiem, z płaczem i śmiechem do babki, rzuciła się jej do kolan i znowu słowa przemówić nie mogła. Coś niby ciągle mówiła, ale babka jej wcale nie rozumiała. Dowiedziała się wkońcu i sama się rozpłakała z radości.

I jeżeli od owego momentu inny zamieszkał duch w starym dworze na Zawisłoczu, to ten duch nowy znalazł wierne odbicie i w Przewoźnikach. Józia była tak uszczęśliwioną, wesołą, swobodną, jak jeszcze nigdy w swem życiu. Dzieliła tę radość babka, z całego serca rozbierała po szczególe wszystkie postępki Karola i wszystkie otwartemi usty chwaliła.

— Walny jest człowiek — mówiła wtedy — widać, że w jego żyłach prawdziwa pułkownikowska krew płynie. Jak on się pięknie, jak rzetelnie wypłaca! jak szlachetnie postępuje sobie z wierzycielami, chociaż tego nie warci! jak roztropnie zachowuje się względem swoich dłużników, chociażby mógł ich podusić i nawet byłby usprawiedliwiony w tym razie! A jak pracuje, jak się nie kaja żadnej roboty! Wszystko to bardzo jest piękne i bardzo mi go rekomenduje. Ale...

— Och! moja babciu—wołała na to Józia—tylko już żadne ale... moja babeczko!

— Ale moje dziecko—mówiła babka—w Przewoźnikach nie był dotychczas.

— No to nie był i może wcale nie będzie. A czy być musi koniecznie? Ja nie mam o to do niego żadnej pretensyi. Niech nie będzie. Dosyć mi na tem, że jest w Zawisłoczu i jest takim, że mi przynosi pociechę. Ja nie potrzebuję nic więcej...

Przypatrzyła się babka swojej wnuczce z uwagą, a potem rzekła:

— A asińdźka, jak widzę, przeszła nawet moje oczekiwanie. Chodźże tu, niech cię ucałuję.

A ucałowawszy ją, zakończyła:

— Bądźże mi pewną, że jakikolwiek obrót wezmą twe losy, już cię Bóg nie opuści, bo nie opuszcza On nigdy poczciwych ludzi.

VI.

Wszystkie te zmiany, które zaszły w Przewoźnickim pałacu, doszły prawie dosłownie do wiadomości Karola. A doszło go to wszystko od Basi.

Basia wyszła wprawdzie zamąż zaraz w kilka tygodni po przyjeździe starościny i zamieszkała na Starym przewozie, ale pomimo to, utrzymywała po staremu ciągłe stosunki ze swoją ukochaną panienką. Obiedwie rówiennice kochały się między sobą jak siostry, wiązał je zawsze węzeł daleko bliższy, aniżeli bywa pomiędzy panią a sługą, a nie trudno się tego domyśleć, jak się ich serca otworzyły wzajemnie dla siebie natenczas, kiedy na Józię przyszły tak ciężkie próby, tak dojmujące boleści. Smutki, zgryzoty, cierpienia, zbliżają zawsze poczciwych ludzi do siebie, a wynikająca ztąd miłość wzajemna staje się balsamem dla ich ran ciągle jątrzonych, źródłem pociechy i bodźcem do wytrwałości. Tylko społeczeństwa cierpiące kipią wewnętrznemi swarami w nieszczęściu, ale i te tylko dopóty, dopóki

światło, doświadczeniem nabyte, nie nauczy ich tej prawdy głębokiej a prostej, że tylko wzajemna miłość i zgoda może ulżyć ich bólom i dać im siłę odpowiednią trudnym ich obowiązkom...

Józia zwierzała się ze wszystkich swoich tajemnic przed Basią i tym sposobem rzeczy te doszły do wiadomości Karola. Wiedział on o wszystkiem, co się dotychczas stało i jeszcze dotychczas działo w Przewoźnickim pałacu, do tego stopnia, że nawet rozmowa, która pomiędzy babką a wnuczką odprawiła się przypadkowym sposobem właśnie w chatce Bernata, została mu powtórzoną dosłownie.

Jakie to wszystko sprawiło na nim wrażenie, nie trudno się tego domyśleć.

Ale już wytrawiony młodzieniec zniósł to wrażenie spokojnie a zamiast miotać się w kędzierzawych marzeniach lub uzbrojonych boleściach, zaczął się raczej badać sumienie, azali godnym jest takiej kobiety, jaką pod okiem babki stała się Józia.

Zdawało mu się także, iż nie od rzeczy będzie pomówić o tem z matką, zasięgnąć jej zdania o tem i wyrozumieć jej pod tym względem uczucia.

Tak też i zrobił, a zaledwie potrzebujemy dodawać, że sumienna pułkownikowa dała jak najlepsze, a nawet bardzo serdecznie wypowiedziane świadectwo dla swojej ukochanej sąsiadki. Nie omieszkała ona wprawdzie natrącić, iż związków z takimi ludźmi, jakimi byli szambelan i syn jego, nie można sobie policzyć ani za zaszczyt, ani za szczęście, ale jak gdyby się obawiała wspomnieniem tem krzywdę uczynić zupełnie do niej niepodobnej szambelanównie,

opowiedziała mu zaraz jej szlachetną gotowość, z którą przysłała do niej swą babkę, podczas owych burz majątkowych w Zawisłoczu.

Tak tedy niby wszystko się pomału ku temu składało, ażeby ci młodzi ludzie zeszli się znowu z sobą i podali sobie ręce na wieki.

Ale ostatni wyrok po staremu jeszcze w Boskim był ręku.

Karol myślał o tem, może się nawet rwał swojem sercem, może już w końcu był zupełnie zdecydowanym do Przewoźnik pojechać, ale choćby go kto był zabił, nie miał do tego odwagi. Już bowiem sama myśl o tem, z czem tam pojedzie, jakim przemówi językiem, teraz, kiedy tam nie był przez całe pół roku, niewysłowioną przejmowała go trwogą — a cóż dopiero wtedy, kiedy sobie pomyślał, że może być zimno przyjętym, a może nawet wprost odprawionym? Badając siebie, czuł się zupełnie niewinnym, ale czy wyjazd jego tak nagły, wskutek słów kilku wcale niezrozumiałych i zapomnienie potem takie stanowcze, nie mogło być mu policzone za taką winę, której nigdy się nie odpuszcza? Ze wzmianek matki, z opowiadań Basi, ze wszystkich zresztą okoliczności, powinien był wprawdzie wnosić inaczej, ale czy zbadał kto kiedy dno serca kobiety? Czy nie omylono się na niem już miłion razy?

Trzeba się sercem wczuć w jego położenie, trzeba wziąć dobrze na oko jego przeszłość burzliwą i teraźniejszość spokojną, a wtedy można go prawie zupełnie usprawiedliwić z tego braku odwagi, który go pod tę porę opętał.

Jakoż, gdyby był los tej niedokończonej sprawy zawisł tylko od niego, to kto wie, azali ci ludzie nie byliby jeszcze do dnia dzisiejszego czekali na ostateczny ten wyrok, który miał ich uszczęśliwić albo potępić?

Ale, jak się powiedziało powyżej, los ten, jak wszystko, był w Boskich rękach, a najlepsze to ręce. Nic tam w nich nie zaginie, nic się bez potrzeby nie zwlecze, nic swego przeznaczenia nie chybi kiedy czas przyjdzie potemu. Upadają i wstają narody, gasną i zapalają się światy, azaliżby człowiek nie miał odebrać zasłużonej nagrody lub kary, kiedy miara jego postępków się dopełniła?

Nie minęło to i Karola.

Jakoż, gdy dnia jednego, przed samym wieczorem, znów był przy żniwie i myślał o tem, że trzeba już koniecznie do Przewoźnik pojechać, a po staremu nie mógł zdobyć się na to, wpadła mu znowu w oczy chatka Bernata, wsiadł na koń i do niej dojechał. Znał on już tutaj drogę wybornie, a wszakże prawie co drugi lub trzeci dzień przyjeżdżał do Basi na konferencye...

Basia wciąż jeszcze była słaba, wstawała trochę, ale zawsze napowrót się kładła. I teraz także leżała w łóżku, a około niej siedział jej mąż, trzymając na kolanach swego ukochanego chłopaka, który z kolei to świstał na glinianej piszczałce, to zapalczywie kąsał w kukiełkę, przywiezioną mu z targu przez dziadka.

— Szczęśliwyś ty, mój Antku, jak anioł—rzekł Karol do niego — że masz takiego ślicznego chłopaka! Aj! czegobym to ja nie dał za to, gdybym mógł

taką dziecinę piękną a swoją nosić na rękach, tulić do piersi i świstać z nią razem na glinianej piszczałce!

— Okrutnie hultaj piszczy na tej piszczałce — rzekł na to Antek—że aż mi w uszach strzyka czasami. Sprzykszyłoby się to jegomości.

Ale pomimo to podniósł chłopca z kolan, popatrzył mu w oczy i pocałował go w rumiane policzki.

— O, co piszczy, to piszczy—dodała Basia, ale z zazdrością spojrzała na męża, całującego tak serdecznie dziecinę. Jakoż zaraz dodała: — Aleć jest w tem ludzka pociecha, bo dziwnie głucho byłoby tu w tej chacie, gdyby tego świstuna nie było. Jak tam głucho być musi na Zawisłockim zamku!...

— O! co głucho, to głucho—odpowiedział Karol z westchnieniem.

— A czemu?—zapytała Basia, patrząc na niego z pod oka.

— Czemu? albo ja wiem? taka jest Boża wola.

— Wola Boża i jegomości — boć prawdę mówiąc, mogłoby być wcale inaczej.

— Proszę cię—rzekł na to Karol z zajęciem— dawno tu były twoje panie?

— O! już ich nie było ze trzy dni, aż mi to dziwno. Aleć to żniwa teraz, a stara jejmość pilnuje gospodarstwa, jak oka w głowie.

— Cóż tam słychać w Przewoźnikach? nic nie ma nowego?

— Prawie jak nic. Powiadają tylko, że pan szambelan ma temi czasy przyjechać. Ale nie wiem,

czy to być może? Chyba żeby i to prawda była, co dalej mówią?

— A cóż mówią?

— Mówią, że szambelan odkupuje od panny Przewoźniki i znów tu zamieszka, a pani starościna ma zabrać pannę z sobą do Krakowa.

— Tak mówią?—rzekł na to Karol, wstał z miejsca i zaczął się przechadzać po izbie.

Basia patrzyła na niego i uważała, że był jakby trochę zmieszany, kręcił się i jakby nie wiedział, co ma zrobić ze sobą.

A w tem dał się słyszeć turkot zajeżdżającego powozu w dziedziniec.

— Ot! i panie nasze przyjechały! — zawołała Basia z radością.

Karol skostniał na miejscu i stracił w tej chwili do tego stopnia przytomność, że się zachwiał na nogach, zatoczył się ku piecowi i oparłszy się lewem ramieniem o niego, jak zwiędły kwiat czekał wyroku śmierci albo zbawienia.

Tymczasem w samej istocie obie te damy zajechały półkrytą dróżką przed drzwi tej chatki rybackiej i zajechały tak jakoś szczęśliwie, iż zajęte rozmową, nakryte budą od upału i kurzu, a zasłonione plecami stangreta, nie uważały wcale, iż tam w głębi dziedzińca stał koń osiodłany Karola. Kiedy się powóz przed drzwiami zatrzymał, rzekła starościna do Józi:

— Prawdę mówiąc, nie mam ja wielkiej ochoty oddawać osobiście wizyty Basi, bo nim się wygramolę, to słońce zajdzie tymczasem. Idź tedy ty sa-

ma, a jak mnie tam będzie koniecznie potrzeba, to mi daj znać.

— Dobrze, babciu, niech babcia sobie siedzi spokojnie i każe budę spuścić tymczasem, a ja zaraz powrócę—odpowiedziała Józia i wyskoczywszy lekkiemi nóżkami z powozu, wbiegła do chaty.

Ale zaledwie ubiegła tyle, że się zrównała z piecem, stanęła nagle jak wryta. Zobaczyła Karola, poznała, ciemno jej się zrobiło w oczach i krew jej zastygła w żyłach.

— Pan...—rzekła ona bez myśli, zachwiała się i zaczęła się cofać powoli.

Nie o wiele przytomniejszym był także i Karol: serce mu się tak tłukło gwałtownie, iż myślał, że mu pierś pęknie, a cała krtań tak mu zdrewniała w tej chwili, że o wymówieniu choćby tylko jednego słowa nie mógł nawet pomyśleć.

Lecz widząc cofającą się Józię, strach go jakiś ogarnął. Zdobył się więc na rozpaczliwą odwagę, przystąpił do niej. ujął ją zwolna za rękę i popatrzył jej w oczy.

I ona wtedy spojrzała mu w oczy, on ją ścisnął za rękę i ona go odścisnęła, ale dotknięcie to sprawiło na niej tak przejmujące wrażenie, iż z sił opadła zupełnie, zachwiała się całkiem i aby nie upaść na ziemię, siadła na blizkiej ławie pod ścianą.

Karol ujął jej drugą rękę i upadł przed nią na kolana. Przez oka mgnienie byli oboje jak z głazu, ale niebawem już Karol gorącemi łzami oblewał jej ręce, a ona płakała głośno jak dziecko.

A starościna siedziała w powozie. Po odejściu

Józi przystąpił stary Bernat do drzwiczek i witając swoją jejmość kochaną, pomagał Jacentemu opuszczać budę. Zaczerpnąwszy świeżego powietrza, starościna odetchnęła swobodnie i zażywając tabakę, rozmawiała z Bernatem. Lecz wśród rozmowy dojrzała konia osiodłanego w dziedzińcu. Koń to był piękny, duży, wyniosły, zaczem jej zaraz wpadł w oko.

— A czyj to taki bachmat błyszczący?—zapytała staruszka.

— To koń młodego pana z Zawisłocza — odpowiedział jej Bernat.

— Czy i pan tu jest u was?

— Jest jasna, pani, jest tam w świetlicy.

— A! to trzeba się wygramolić!—rzekła starościna z pośpiechem i dawszy się Jacentemu wysadzić z powozu, weszła do chaty.

Zobaczywszy oboje młodych w takiej wymownej pozycyi, także się zastanowiła cokolwiek, a przypatrzywszy im się z uwagą, rzekła dobitnie:

— Krótko i węzłowato rozmówiliście się asaństwo ze sobą, jak widzę!

Na ten głos oprzytomnieli nagle oboje i rzucili się babce do kolan. Wzruszyła się tem staruszka, podniosła ręce nad ich głowami i rzekła:

— Błogosławię wam tu, moje dzieci, i pobłogosławię jeszcze gdzieindziej... Ale wstań no asińdzi i pokaż mi się, niechaj zobaczę figurę.

Wstał prędko Karol, całował ręce staruszki i patrzył jej w oczy z wesołem uczuciem szczęścia na twarzy. Popatrzyła na niego uważnie babka i rzekła:

— Niczego z waści kawaler; ale czemu taki kunktator? he? Czy chcecie już taką wprowadzić modę, ażeby wam panny przywożono do domu?

— Pani starościno dobrodziejko — rzekł na to Karol — kto chce żonę wprowadzić do domu, musi pierwej gniazdo uścielić dla niej, opatrzyć i ubezpieczyć, a ja dotychczas jeszcze nie byłem nawet pewny, czy będę miał jaki kawałek dachu dla siebie?

— Dobrze się asiądzi tłómaczysz; no, ale siadajno z nami, wyegzaminujemy cię w domu.

Karol spojrzał po sobie i usprawiedliwiał się babce, że za pół godzinki do Przewoźnik przyjedzie, ale tak jechać nie może, bo jest po polowemu ubrany. Tymczasem wszakże trzymała go Józia tak silnie za rękę, że ani myśleć było odjechać, a oprócz tego dodała jeszcze staruszka:

— Bardzo to przyzwoity kubraczek, który asiądzi masz na sobie. Pojedziesz do domu i we frak mi się ubierzesz, a ja fraków nie lubię, bo to cuchnie Niemcami.

— To pozwólcież mi panie—rzekł prędko Karol — ażebym przynajmniej kartkę napisał do mojej matki i zaprosił ją do udziału w tem szczęściu mojem wielkiem a tak niespodziewanem. Biedna matka moja rozpłacze się tam pewno z radości!

— A! to co innego!—odpowiedziała na to staruszka—zaprośże nam asiądzi jejmość pułkownikowę, ażebyśmy się mogli weselić razem.

Tak zaraz Antek został wsadzony na konia Karola i wyprawiony z kartką do Zawisłocza—a Karol, kochający, kochany i upojony swem szczęściem

do utracania zmysłów, wsiadł razem z damami do ich powozu i do Przewoźnik pojechał.

Około godziny dziewiątej byli już wszyscy czworo zgromadzeni w salonie i oddawali się najweselszej i najszczęśliwszej rozmowie. Starościna z pułkownikową siedziały na wielkiej kanapie i układały pomiędzy sobą dzień i warunki wesela, główne punkty intercyzy ślubnej, jak niemniej wszystkie wzajemne na przyszłość stosunki pomiędzy łączącemi się rodzinami. Karol zaś siedział z Józią na maleńkiej kanapce, spowiadając się przed nią ze wszystkich uczuć swojego serca i nawzajem słuchając jej opowiadań o tych latach smutku, zgryzoty, cierpienia, które w tej chwili jak sen gdzieś przepadły, czyniąc rum wesołości, swobodzie i szczęściu. W samej istocie chwila ta była dla nich jak gdyby świętem całego życia: niebo się ku nim spuściło na ziemię, nadziemską napełniło lekkością ich dusze i oblało ich światłem niebieskiem dokoła. Zdawało im się, że ziemia ze swemi chmurami wysunęła się z pod nich i że płynąć tak będą w tej niezmąconej światłości do końca...

Ale wtem zajechało jakichś dwóch jezdnych w dziedziniec, jeden z nich sługa z Zawisłocza, a drugi z Grzymalina, i przywieźli wiadomość: że Izydor zamknął powieki na zawsze.

Na tę wiadomość Karol zerwał się z miejsca, chwycił się obiema rękami za głowę i stał tak przez chwilę osłupiały jak posąg.

I wszyscy inni ulegli również temu bolesnemu wrażeniu — i była cisza w tym przybytku wesela, jak w grobie.

Po chwili dopiero Karol otrzeźwiał i rzekł z niewymówną goryczą:

— A że też nigdy w tem życiu nie może człowiek dostąpić niczem niezamąconej radości! Z najpiękniejszego nieba wypada grom niespodziany, a śród wesela otwierają się groby!...

A starościna odpowiedziała mu na to:

— Ziemia to, mój kochany, najszczersza ziemia! Nie dziw się temu, a raczej weź ztąd starą a zapomnianą naukę. Zrywaj kwiaty z tej ziemi, lecz pomnij, że pomiędzy najwonniejszemi różami najostrzejsze gnieżdżą się ciernie. Pożywaj dary Boże, boć są dla ciebie, ale wiedz o tem, że każda okrucha chleba może się z woli Bożej zmienić w truciznę. Żyj wesoło, swobodnie, szczęśliwie; ale... *memento mori!*

EPILOG.

Tak dobiegła nareszcie ta powieść o losach naszego Rozbitka do swego kresu—lecz po staremu pozostało jeszcze do powiedzenia i to i owo. Przedstawiło się obraz, złożony jak mozaika z wielu drobniejszych cząstek—trzeba jeszcze zebrać te cząstki, obrzucić promieniem jednostajnego światła i dać niby fotografię całości. Nazywam to fotografią, bo będę opowiadał rzeczy, które biorę prosto z natury...

* * *

Działo się to, jeśli dobrze pamiętam, w roku pańskim 1855. Bawiłem wtedy przez jakiś czas dłuższy we Francyi — i dnia jednego, pod koniec miesiąca sierpnia, wybrałem się był z Paryża do Fontainebleau.

Ostatnie to miasto, równie ciche, jak sławne,

a położone jak biała wyspa w środku ogromnych lasów, było pod ową porę dla każdego Polaka nadzwyczajnie pociągającem: zgromadziły się tam bowiem przypadkiem najszczytniejsze serca, najwznioślejsze umysły, jakiemi się naród nasz może poszczycić. Mieszkał tam natchniony wieszcz ukraiński, Bohdan Zaleski, bawił przez całe lato Lenartowicz, tak serdecznie i tak zasłużenie kochany śpiewak „Lirenki“, wyjechał tam wreszcie, ażeby leśnem odetchnąć powietrzem, arcymistrz polskiej poezyi i pieśni, tak wzniosły swym duchem, a tak prosty umysłem i sercem, autor „Grażyny“. Oprócz tych gwiazd pierwszego rzędu, przybiegali tam jeszcze i inni — jedni, ażeby także po brukowej duszności Paryża, po pracach ciężkich codziennych i jeszcze cięższych bolach codziennych, świeższem odetchnąć powietrzem—drudzy, ażeby przy tych wiecznie płonących ogniskach uczucia i wiedzy ogrzać się, natchnąć, orzeźwić i przywieźć do domu wieści z polskiego olimpu o ludziach półbogach, dźwigających na swoich barkach olbrzymi ciężar wspólnego bólu, o nutach niedośpiewanych pieśni i promieniach nowego światła, połamanych w połowie i zgasłych...

Przyjechałem do Fontainebleau o wczesnych popołudniowych godzinach, jeszcze na czas przed wieczorem — ale trafiłem podówczas najnieszczęśliwiej. Dnia tego samego bowiem Mickiewicz wyjechał był do Paryża i miał dopiero za dni kilka powrócić. Poszedłem do Zaleskiego i nie zastałem go w domu. Tylko autora „Błogosławionej“ znalazłem w jego zacisznem mieszkaniu, siedzącego nad papierami z ołówkiem w ręku. „Dzieciątko Jezus“ wysnuwa-

ło się wtedy po tym ołówku, z tego wieszczego serca, tak bogatego we wzniosłość i wdzięki, a niezrównanego w swojej prostocie...

Dopóki słońce przygrzewało, pozostaliśmy pod dachem, rozmawiając o owych krótkich ale pamiętnych chwilach, któreśmy niegdyś przed laty razem strawili we Lwowie. Więc o gorących dysputach politycznych, któremi całe obejmowało się światy, o mowach w auli akademickiej i o tych schadzkach wieczornych u Karola Szajnochy, wypełnianych deklamacyami i rozprawami, sięgającemi nieraz północy. Półdziecięce te czasy, pełniejsze marzeń niż myśli, a prawie całkiem próżne uczynków, jak przecież pełne są niewysłowionego uroku! Od tego czasu, przeszedłszy prób i doświadczeń nie mało, wstąpiwszy na drogę pracy i czynów, każdy się stał jakiemś pożytecznem ogniwem w łańcuchu trudów i myśli swego narodu, a przecież wobec serca całe lata dzisiejsze niewarte czasem jednej owoczesnej godziny! Spracowaliśmy się przedwcześnie, otrzeźwieli zanadto, a brak górniejszych nadziei zmroził wszelkie gorętsze zapały. Dlatego owe urocze chwile wracają do nas tem częściej, a otaczając nas tęczowem powietrzem młodości, unoszą się nad naszemi głowami jak wiosenne motyle nad jesiennemi krzakami róży, pełniejszemi cierni, niż kwiatów. Tyleż dziś szczęścia w tych chłodnych, kamiennych czasach, ile tych wspomnień młodości!

Kiedy słońce się obniżyło cokolwiek, wyszliśmy z domu. I szliśmy w lasy, otaczające to miasto tak zblizka. Lasy te mają dla Francuzów swoją historyę, lecz błąkaję się tam po nich wpomnie-

nia, które i nas zajmować powinny. Największy geniusz naszego narodu wiele chwil tutaj przepędził, a niejedna z jego ostatnich boleści tu zamieniła się w słowa i przylgnęła tymczasem do tych ciemnych ustępów, ażeby ją kiedyś ktoś znalazł i wieści o niej zaniósł do Litwy...

Przez drogę towarzysz mój opowiadał mi wiele o Mickiewiczu, o jego bólach z ostatnich czasów, o niewymównych cierpieniach.

Mickiewicz,stojący z załamanemi rękami, ze ściętemi usty i łzą zakrzepłą przy oku, nad zwłokami swej żony, rozpostartemi na środku pokoju... nie ustąpi się nigdy z przedemnie! — To też ten cios straszliwy utłumił jego wzniosłego ducha do reszty i niezatarte po sobie zostawił ślady. Od tego czasu był on już jakby złamany, smutny, milczący i jednostajnie pochmurny, jak nocne niebios sklepienie, na którem wszystkie gwiazdy pogasły...

Jednego dnia, mało co przedtem, siedział on w tymże samym lesie, otoczony kilku przyjaciółmi, i opuściwszy głowę ku ziemi, milczał upornie, chociaż inni dość ożywiony wiedli rozhowor. Zabrał głos potem i zaczął mówić o Litwie. Ile razy mówił o Litwie, duch jego się wznosił na niedojrzane wyżyny, a jego myśl potężna i silna olbrzymie obejmowała akordy. Trzeba było go słyszeć tak mówiącego, ażeby pojąć, do jak ogromnej potęgi może się podnieść uczucie. Porównywał Francyę z Polską i Litwą, a pod przemożnym wpływem jego wymowy ta piękna, ludna, bogata Francya stała się smutną i nudną pustynią w porównaniu do Litwy. Wspomniał nareszcie o owych starych, nie-

tkniętych lasach litewskich, które zawsze tak kochał, i mówił o nich przecudne rzeczy. Patrząc na niego, unoszącego się w poważnem natchnieniu nad swoim najulubieńszym żywiołem, pomimowoli wszystkim słuchaczom przypomniały się słowa, powiedziane do niego przez innego poetę:

Jam ci powiedział, że jak Bóg litewski
Z ciemnego sosen wstałeś uroczyska,
A w ręku twem krzyż, jak miesiąc niebieski,
A w ustach słowo, co jak piorun błyska...

Tak przeniósłszy się duchem w owe puszcze litewskie i odmalowawszy ich piękność uroczemi barwami, wrócił nareszcie do Francyi, opuścił głowę ku ziemi i rzucił pytanie: Czy może się nazwać pięknym kraj taki, który przez chciwość powycinał nawet swe lasy?—Na to jakiś prozaik zrobił uwagę, że właśnie siedzimy w lesie takim, który obejmuje kilkanaście tysięcy morgów. Wtedy wieszcz podniósł głowę, powiódł oczyma po otaczających go drzewach i rzekł swoim wybitnym litewskim akcentem:

— Ta co to za las! ani jednego ptaka w nim niema!

Takie już gorzkie było jego usposobienie natenczas. Wszystko, co wtedy mówił, nosiło na sobie taki sam wyraz goryczy i jednostajnego smutku. Było to bezzawodnie wieszcze przeczucie blizkiego zgonu...

Ożywił się potem, orzeźwiał nawet, kiedy stanęło postanowienie owej nieszczęsnej podróży na

Wschód—ale przeczucie jego sprawdziło się niestety! aż nadto prędko...

Dalekoby mnie zaprowadziło pióro, gdybym chciał opowiedzieć moje wszystkie z owego czasu wspomnienia. Mijam je tedy i powracam na moją drogę.

Owo więc, odbywając tę przechadzkę po lesie, zdawało mi się, iż oko moje spoczęło kilka razy na jakimś przechodniu, który mi był skądeś znajomy. Był to człowiek już wcale nie młody, mający pięćdziesiąt i kilka lat pewnie, dobrze już siwy, niskiego wzrostu, szczupły, lecz z wydatnemi barkami i jakby pochylony cokolwiek. Twarz jego, ogolona zupełnie, była bladą, prawie pożółkłą i wyglądała tak jak u ludzi, którzy strawili całe swe życie w ciężkiej siedzącej pracy; — mimo to wszakże zdawał się on być żywym niezmiernie, stąpał raźnie jak młody i z wielkiem zajęciem oglądał to wszystko, co mu wpadało w oko. Dostrzegłem, jak mówię, tego człowieka, ale zajęty rozmową, nie zwracałem na niego uwagi. Myśl ta, że mi był gdzieś znajomy, opuściła mnie prędko, wyglądał bowiem z swego zaniedbanego ubioru *comme un bon bourgeois*, trudniący się jakiemś rzemiosłem.

Powróciliśmy wreszcie z tej przechadzki, a że dzień jeszcze się wcale nie kończył, poszliśmy do parku, otaczającego tamtejszy zamek królewski. W tym parku, tuż prawie pod bokiem zamku, znajduje się, jak wiadomo, kopia owego sławnego Gladyatora rzymskiego, który tak świetnie ozdabia muzeum kapitolińskie. Stanęliśmy tedy przed posągiem, biorąc go pod baczniejszą uwagę. Ożywił się

tym widokiem autor „Lirenki“ przypomniał mi przedewszystkiem, że podobno jeszcze Bajron, a potem Mickiewicz, Krasiński i inni, znaleźli w budowie tej głowy i rysach twarzy niezaprzeczony typ słowiański, zapewne kiedyś z jakiegoś nieszczęśliwego Słowianina zdjęty z natury. Idąc za tą myślą, Lenartowicz rzucił kilka uwag tak zajmujących, że mnie niemi jak gdyby przykuł do tego posągu—uplątaliśmy się w rzymską historyę i czasy przedhistoryczne słowiańskie i zabrnęliśmy w niezmiernie długą rozmowę. Nie wiedziałem jeszcze natenczas, iż wkrótce potem Lenartowicz pojedzie do Rzymu i tam przy pierwowzorze tej kopii utworzy tak piękny i wzniosły o Gladyatorach poemat...

Nie uważałem także, iż wśród tej rozmowy, tenże sam człowiek, którego przedtem dostrzegłem w lesie, zbliżył się do nas, stał przez chwilę za nami i słuchał; poczem jednak wprost do nas przystąpił, ukłonił nam się i rzekł trochę naiwnie:

— A panowie także Polacy?

Nie potrzeba było mu odpowiadać. Zabrał głos i tak mówił:

— Przepraszam bardzo, że nieproszony mieszam się do rozmowy, ale niepodobna jest nie odezwać się, spotkawszy ziomków w tak dalekiej obczyźnie. Tu zaś nawet i trzeba się było odezwać, choćby tylko dlatego, ażeby panom podziękować za te piękne rzeczy, których się już nasłuchałem. Ale co panowie myślicie? jest-że to rzeczywiście Słowianin ten umierający Gladiator? Przedmiot ten już mnie niejednokrotnie zajmował, albowiem domysł ten jest mi oddawna znajomy. Mówiłem już

o tem z L... i Mickiewiczem. zasięgałem objaśnień w książkach i nie zaniedbałem także popatrzyć, co o tem rozumieli Winkelman i Lessing, Mongez i Hirt, Quatremére de Quincy i Gottfried Müller; ale przyznam się panom, że wszystko to nie przywiodło mnie jeszcze do żadnego postanowienia...

Tu rzucił pytanie: Kto to byli gladyatorowie?— a odpowiadając sam sobie, wszedł w szczegóły takie, w które nie każdy wejść może. Nie dosyć bowiem, że zaczął rzecz swoją *ab avo*, t. j. od Marka i Decimusa Brutusa, kiedy się *munus gladiatorium* zaczęło, nie dość że przebiegł całą gladyatorów historyę, wyliczając i opisując ich wszystkie rodzaje, jak Samnites i Mirmillones, Retiarii i Secutores, Essedarii, Andabatae, Bestiarii i Bóg nie wie jakie; ale wpadł jeszcze potem w przypuszczalną historyę słowiańską, z którą podobno daleko lepiej się znał, aniżeli z rzymską, a niezawodnie goręcej ją kochał, bo wtedy podniosła się jeszcze wyżej jego płynna wymowa, a chwilami jaśniała nawet taką potęgą rozumu, iż wcale niepospolite sprawiała wrażenie. Wszystko to zaś, co mówił, nie miało na sobie ani cienia deklamatorskiej próżności, ani śladu chętki popisania się nauką — mówił tak, jakby był mówił o pogodzie lub słocie — ale dlatego właśnie tem więcej wzbudzał podziwu, gdy mówiąc tak, miotał epokami historyi jak piłką, powoływał się na łacińskich, greckich, arabskich autorów jak na braci rodzonych, a niejednokrotnie kilku krótkiemi słowy wyraził myśl, o której inni wielotomowe spisali dzieła.

Nie wiem, jakiemi oczyma patrzył mój towa-

rzysz na tego człowieka—ale ja, przyznam się, z niemałem zdziwieniom, nie koniecznie dla tego, że mówił tak uczenie i pięknie, co przynajmniej we Fontainebleau nie było osobliwością, ale dlatego, żem go tu spotkał tak niespodzianie.

Zaczem, gdy skończył, położyłem rękę na jego ramieniu, popatrzyłem mu w oczy i rzekłem:

— Poznawaj pan, jeśli pamięć masz dobrą.

Przymrużył oczy, przypatrzył mi się bliziutko— i rzucił się w moje objęcia prawie tak samo, jak niegdyś Karolowi na Lwowskim rynku.

Nie był to oczywiście nikt inny, jak Skiba.

Poczciwy, serdeczny Skiba — ale jaki on był dziś wesoły, jaki szczęśliwy, a jaki raźny, jak gdyby miał lat ośmnaście!

— Sto lat pana już nie widziałem — mówił wtedy — jeszcze gdzieś w czasach akademickich, a gdzieżbym był mógł poznać odrazu? Od tego czasu wszyscyśmy się zmienili. Ale patrz pan, co się to ze mnie zrobiło! Ja zawsze taki nudny, kwaśny, zgryziony, żeście mnie obydwa z Karolem nazywali „cytrynką", patrz pan, zaledwie się teraz dotykam ziemi. Ale trzeba panu wiedzieć, że nie jest to bez powodu. Wypłynęliśmy przecie raz z moim Karolem na suchą. Ożenił się! jaką ma żonę! jaki bogaty! jaki szczęśliwy! a jaki człowiek! — Powiadam panu, że jeżeli kiedy się moje istotne życie zaczęło, to teraz. Wszyscy żyjemy — a ja za wszystkich! Nie miałem nigdy pojęcia, ażeby ta nędzna ziemia mogła dać człowiekowi tyle rozkoszy i szczęścia. I wyobraź pan sobie, na dobitkę tego wszystkiego, ci Karolowie byli jeszcze tacy poczciwi, że mnie tu

wyprawili i dali mi takie mnóstwo pieniędzy, że już od dwóch miesięcy siedzę w Paryżu, widziałem to wszystko na własne oczy, o czem tylko w snach moich marzyłem, żyję jak Sardanapal i jeżeli mnie jesień nie zaskoczy, to jeszcze będę w Londynie, we wszystkich bibliotekach, muzeach, gabinetach, galeryach, w osobistej styczności z najpierwszemi znakomitościami oświeconego świata, wie pan, chociaż to już jest rzeczywiście, jeszcze zaledwie mogę temu uwierzyć... A spytaj mnie się pan, gdzie już nie byłem i kogo już nie widziałem! A jakie mam zbiory bogate w książkach, rycinach, modelach! wszystko to panu pokażę w Paryżu. Ale jeszcze wiele mam do widzenia, a nie wiem, czy wszędzie będę miał tyle szczęścia, jak dotąd...

To rzekłszy, przyznał mi się zaraz, że przyjechał tu po to, ażeby być u Zaleskiego i strawić z nim jaką godzinę; miał nadzieję przez Mickiewicza być wprowadzonym, ale tymczasem ta nadzieja spełzła na niczem. Był zatem w niesłychanym kłopocie.

Nie trudno wszakże było mi go pocieszyć. Któż bowiem jest przystępniejszym od tych, którzy umieją cierpieć i kochać za wszystkich i sami, całem swem sercem, oddają się ogółowi?

Tak pocieszywszy się prędko, nieoceniony mój Skiba wpadł znowu w swój złoty humor i opowiadał mi dziwy o tem, z jaką rozkoszą napawa się tem wszystkiem, co tutaj widać, z jakiem łakomstwem połyka te wszystkie nabytki sztuki, rozumu, wiedzy, które tu jak dary natury stoją dla wszyst-

kich otworem, a o których do nas ledwie półżywe donoszą się wieści.

— Chciałbym połknąć, pochłonąć, zrabować to wszystko, ażebym miał z czem powrócić do Zawisłocza; niechaj mi bowiem Karol mówi, co chce, wiem ja bardzo dobrze, po co oń mnie tutaj wyprawił.

Tak tedy usposobionym znalazłem natenczas Skibę — i nie mogę nawet tego opisać, jak miłe, podnoszące, sprawił on na mnie wrażenie. A cóż dopiero powiedzieć o tem, że jeżeli był tak szczęśliwym, to tylko szczęściem drugich—i chociaż sam był jakgdyby w raju, przecież ani na chwilę nie zapominał o tem, ażeby miał czem się przyczynić do szczęścia tych, których zostawił w kraju. — Niewielu jest takich ludzi i nie często ich spotykamy.

Dlatego też, mając podówczas dosyć swobody, nie opuściłem już Skiby. Strawiliśmy jeszcze dzień jeden na miejscu, bawiąc się z przyjaciółmi i zwiedzając ów sławny zamek królewski, który tyle zawiera w sobie pamiątek, począwszy od tego pokoju, w którym zabity był Monaldeschi, a skończywszy na tym dziedzińcu, w którym Napoleon żegnał się z ostatnią resztką swoich żołnierzy...

Wyjechaliśmy potem na południe, do Lugdunu, a ztamtąd aż do Marsylji, zatrzymując się po wsiach i zapuszczając się w głąb prowincyi, ażeby się zblizka przypatrzyć tak tamtejszej kulturze ziemi, jak i życiu wiejskiego ludu. Skiba był tem wszystkiem, co widział, niezmiernie uszczęśliwiony: rósł na widok tej pracowitości, oświaty, jaką znaj-

dowaliśmy w tamtejszych warstwach najniższych, unosił się jak młodzieniec nad tamtejszemi wioskami, zamienionemi prawie w ogrody. Czasami kipiał od wewnętrznego uszczęśliwienia — a wtedy mówił:

— Oh! cóż to za pyszne rzeczy! jakie wspaniałe dowody na to wszystko, co ja mówię, czego pragnę, w co wierzę od niemowlęctwa! Wie pan, chociaż wiedziałem o tem, że to tak być musi, przecież jeszcze nie miałem wyobrażenia, ażeby tak było. A kiedy dzisiaj tak jest, wiem już napewno, co jutro będzie. Mogę także powiedzieć o sobie: A teraz, Panie, puść swego sługę w spokoju!.

Przenosząc zaś bujną swą wyobraźnią to, co tu widział, w inne, dalekie kraje, czasem mi nie dał oka zamrużyć przez całą noc, malując gorącemi barwami wytwarzane przez siebie obrazy...

Pocieszny, nieoceniony był ten nauczyciel Karola, którego wprawdzie znałem oddawna, ale jeszcze nie znałem z tej strony. Pełen nauki i wiadomości, tak, że w nim nigdy dna dosięgnąć nie było można, człowiek ten, który całe swe życie strawił w benedyktyńskiej pracy, przeszedł przez wielkie nędze i najkrwawsze boleści; człowiek ten, połamany fizycznie, wyschnięty ciałem i nieledwie już starzec, był jeszcze dzisiaj tak młody, żywy, pełen uczucia, wiary, uniesień, zapałów, jakgdyby go jeszcze ani razu nie dotknęła twarda rzeczywistości ręka, jakgdyby dopiero teraz rozpoczynał swe życie! — Przypatrywałem mu się z taką ciekawością, z takiem zajęciem, jakgdyby mi się śród powszechnej ciemnicy jakaś nowa otworzyła drożyna, na której dawno

stracona znowu się pokazuje nadzieja... I zdawało mi się z początku, jakgdybym miał nie zwyczajnego człowieka przed sobą, ale jakieś zjawisko Tak wszakże nie było. Skiba był takim samym człowiekiem, jak wielu, a cała niezwyczajność jego istoty leżała tylko w tem, iż przez wszystkie zawody, cierpienia i bóle potrafił miłość i wiarę przenieść w niepokalanej czystości. To też tą swoją nieustającą miłością i wiarą był w samej istocie niezwyczajnym, chwilami wielkim, a zawsze takim, że niepodobna go było nie kochać i nie szanować.

Kiedyśmy przyjechali z powrotem do Fontainebleau, już tam był znowu Mickiewicz. Na tę wiadomość Skiba się nie mógł posiąść z radości. Przechadzał się po pokoju, w samej istocie zaledwie dotykając się ziemi, zacierał ręce i mówił:

— Hej! toż to będę używał, jak Heliogabal! Będę pił z samych czar złotych i kryształowych, będę jadł tylko słowicze języki i główki skowronków, a po każdem daniu położę sobie inny wieniec na głowę. Chociażbym miał powrócić aż w zimie, nie zobaczy mnie Paryż tak prędko!

Jakoż w samej istocie ugrzązł on tam natenczas tak dobrze, żem go musiał odjechać.

Wróciwszy do Paryża, przez długi czas nie przyszło mi o niego zapytać. Aż jednego wieczora wszedłem do salonu redakcyi jednego z przeglądów miesięcznych, gdzie zwykle dość liczne odbywały się zgromadzenia. Pismo to, jeszcze młode podówczas, nie przyszło nigdy do zajęcia stanowiska pierwszego rzędu, a nawet niebawem potem, objawiwszy dążności zanadto śmiałe, zostało zniewolonem do zu-

pełnego milczenia i „zachowania się na lepsze czasy Rzeczypospolitej“, jak mówi Bielski. Mimo to wszakże łączyło ono w sobie bardzo znakomite talenty, a jego wieczorne zebrania były daleko więcej zajmującemi, aniżeli posiedzenia najpoważniejszych redakcyi, a choćby nawet samychże akademii. Wszedłszy tam i zastawszy tłum osób, pływający jeszcze do tego w chmurach tytuniowego dymu, ani mogłem o tem pomyśleć, aby zobaczyć wszystkich; zaczem usiadłem przy najbliższej ścianie, ażeby słuchać w spokoju o czem mówiono. I usłyszałem wtedy głos jakiś, mówiący z niezwyczajnym zapałem o dziejach, naukach i literaturach słowiańskich. Mówca stanął na stanowisku wyższem nad wszelkie niechęci i nienawiści szczepowe, a oświetlając równie jasnemi promieniami światła wydatniejsze momenty dziejów i ogniska rodzimej oświaty, zestawiał czyny i wyciągał z nich wnioski z nadzwyczajną trafnością. Przez długi czas nie zważałem wcale na to, kto mówi i jak mówi, tylko co mówi i czego chce. Wszakże z czasem niepodobna mi było nie dostrzedz, że mówca mówił dosyć wybitnym polskim akcentem, a niebawem i głos jego wydał mi się znajomym. Powstałem z miejsca, aby mu się przypatrzeć—i znowu spotkałem się ze Skibą.

Skończywszy swoją perorę, wziął mnie za rękę i rzekł:

— A co? jakże mówiłem?

— A! bardzo ładnie.

— Ale ba! ładnie. Nie o to chodzi. Tylko czy bajek dużo naplótłem, czy jeszcze w miarę? Ale to tak potrzeba. Bo u Francuzów, co się znaj-

duje za Renem, to już barbarya, a co za Wisłą, to dziki step. Takim nieukom trzeba imponować faktami...

I śmiał się Skiba, ciesząc się tem niezmiernie, że kilkunastu Francuzom niestworzonych nagadał rzeczy o moralnych i materyalnych bogactwach, jakie się znajdują za Wisłą.

Od tego czasu odwiedzał mnie dosyć często, a zawsze do mnie zabiegał, ile razy w rannych godzinach znajdował się około kościoła ś-ej Magdaleny. Wychodziliśmy wtedy razem odwiedzać galerye, muzea, konserwatorya, albo wystawę powszechną, gdzie dawny agronom czasem całe godziny trawił nad machinami i narzędziami, odnoszącemi się do rolnictwa.

Przyszło do tego, że i ja go raz odwiedziłem, chociaż ledwie go odszukałem. Dziwny ten człowiek bowiem, lubo mi mówił, że żyje w Paryżu jak Sardanapal, mieszkał z tamtej strony Sekwany, na najwyższej wysokości ulicy *Monsieur le Prince*, w jakimś domu wyglądającym okropnie, na piątem piętrze *sans compter l'entresol*. Schody te, po których się wlaziło do niego, zwykle się w Polsce nazywają drabiną, a jego pokój zaledwie mógł mieć pretensyę do jakiegokolwiek nazwiska. Ale był duży, a w stosunku do swej wielkości niezmiernie tani—dwie rzeczy nadzwyczaj ważne dla Skiby. Jakoż w samej istocie zastałem trzy czwarte części tego pokoju założone najrozmaitszemi gratami. Znajdowały się tam paki z książkami i rycinami, modele pługów, płużków i innych gospodarskich narzędzi, machina do robienia rur drenowych i ce-

giel, młyn ręczny, a oprócz tego siodła, mundsztuki, wędzidła, kosy, sierpy, ogrodnicze noże i Bóg sam tylko wie, jakie jeszcze najrozmaitsze rupiecie. Pomiędzy tem wszystkiem siedział Skiba przy stole i robił spis tych rzeczy, mając je niebawem wyprawiać do Polski.

Zobaczywszy to wszystko, zrobiłem uwagę, że musiał wydać ogromną ilość pieniędzy, zakupując tyle rozmaitych towarów. Ale on na to uśmiechnął się tylko, zrobił jakąś minę tajemniczą i położył palec na usta, jakgdyby chciał mi powiedzieć: — Cicho!

Roześmiałem się na to z całego gardła, wyglądało to bowiem tak, jakgdyby gdzieś pokradł to wszystko i bał się, ażeby się to nie wydało. Powiedziałem mu to. Śmiał się i ręce zacierał — poczem wszakże przysiadł się do mnie i rzekł:

— Otóż muszę się panu przyznać, że w samej rzeczy to wszystko jest ukradzione, ale ja tylko sobie ukradłem. Albowiem trzeba panu wiedzieć, że Karol mi nie dał ani grosza na sprawunki dla siebie, tylko mi dał pieniędzy na podróż; ale ja tak temi pieniędzmi pokierowałem, że i podróż odbędę jaknajwygodniej i jeszcze go zarzucę całemi setkami prezentów.

Jużem sam nie wiedział, jakiemi oczyma mam patrzeć na niego. Nieoceniony ten człowiek mieszkał kędyś pod dachem, latał o milę do miasta, jadał po najnędzniejszych gargotach, ażeby tylko z darowanych sobie pieniędzy jaknajwięcej oszczędzić, nakupić za nie dobrych i pożytecznych rzeczy i zawieźć je do swej ojczyzny. Pracował przytem

jak mrówka, odwiedzał wszystkich uczonych, wciskał się wszędzie, gdzie tylko. mógł się czegoś nauczyć, ażeby też i moralnych jaknajwięcej zgromadzić zdobyczy i zabrać je z sobą do swego rodzinnego kącika. Takim cnotliwym ludziom trzeba przypatrywać się zblizka, bo zaprawdę niewielu mamy ich między sobą... Wszyscy dziś podróżują— ale wieluż jest między nimi, którzy wydobywszy się z Polski, choćby raz tylko pomyślą o tem w swojej podróży, żeby mieli z czem do niej powrócić?— Skiba był pod tym względem nieocenionym wyjątkiem i mógłby być wzorem dla wszystkich.

Jakoż od tego momentu postanowiłem sobie jaknajwięcej czasu z nim trawić i myślałem nawet o tem, ażeby go zabrać ze sobą do Anglii. Ale już tylko dwa razy go potem widziałem: raz na pogrzebie jakiejś znakomitości z artystycznego świata, a drugi raz na wystawie rzeźb i obrazów. Znalazłem go w sali rzeźb, stojącego przed posągiem jakiejś kobiecej maski, ubranej w koronki i gazy i trzymającej larwę przy twarzy. Wszystkie szczegóły w tym posążku, nawet koronki, były tu wyrobione z białego marmuru z nadzwyczajnem misterstwem, ale też była to, żeby krótko powiedzieć, tylko koronkowa robota. Skiba stał przed nią i przypatrywał jej się z niewymownem zajęciem. Kiedym się zbliżył do niego, ujął mnie ze zwykłym sobie zapałem za rękę i rzekł:

— Patrzaj pan, do czego to już nie przyprowadzono nawet w rzeźbiarstwie!

Przypatrywałem mu się z uwagą i zapytałem:

— Zapewne pan sobie dworujesz z francuskiego rzeźbiarstwa.

— A jakto?

— Cóż pan rozumiesz o tym posążku?

— Utwór przedziwny.

— Przedziwny, niema co mówić, ale nie utwór sztuki.

— Tylko?

— Tylko sztuczki.

— Hm!—mruknął na to z niecierpliwością Skiba — usiądźmy gdzie i pomówmy o tem. Bo wie pan, że i mnie już to niejednokrotnie przychodziło na myśl, że ta genialność Francuzów, tak znamienita i wielka pod wielu względami, przecież gdzieniegdzie tak się gubi w drobnostkowości, że prawie znika zupełnie. Przyczyną tego będzie zapewne ich przyrodzone zamiłowanie w błyskotkach— ale kto wie, czy cały ich geniusz nie odznacza się więcej przymiotem mrówczym, doprowadzonym do olbrzymich rozmiarów, aniżeli istotną, przyrodzoną wielkością. Jakoś mi tu wszystko daleko więcej imponuje ilością, masą, objętością, aniżeli wyniosłością, lub głębią; mozaiki olbrzymie, wykończone jaknajmisterniej we wszystkich częściach, spotykam wszędzie, lecz jednostajnej wielkości, takiej naprzykład, jak tum koloński, jak Dant albo Szekspir, jeszcze tu nie spotkałem... Chodźmy, pomówmy o tem.

Zdanie to Skiby zaplątało nas w niezmiernie długą rozmowę, która wszakże niebawem musiała nas napowrót skierować ku malarstwu i rzeźbie, bo to zajmowało najwięcej w tej chwili nauczyciela

Karola. Posiadał on i pod tym względem znamienity zapas teoryi, ale praktyka, rozpoczęta zapóźno, ta masa wrażeń, jakie odebrał w tak krótkim przeciągu czasu, tak go zbałamuciła, iż na tem polu nie umiał się znaleźć z sobą. Poradziłem mu tedy, ażeby sobie uprosił którego z wykształceńszych malarzy i z nim przeszedł tę całą wystawę, z której mógł się praktycznie daleko więcej nauczyć, aniżeli wiedział z mozolnie ponabywanych teoryj. Ale on na to tylko opuścił głowę ku ziemi i rzekł ze smutkiem:

— Ha! kiedy to już zapóźno!

— Powiedziałeś pan frazes — rzekłem mu na to — najrodowitszy polski. U nas bowiem każdy się tem tłómaczy, że mu do nauki zapóźno i dlatego rzadko kto co tak umie, jak trzeba. Francuzi są pod tym względem innego zdania, powiadają *vaut mieux tard que jamais*, uczą się ciągle i dlatego też umieją tak wiele, że nas aż zadziwiają.

— Ale nie, nie!—zawołał na to Skiba—oh! jabym się miał wzdrygać przed jaką nauką? Przecież o to mnie pan nie posądzisz. Tylko zapomniałem panu powiedzieć, że już odjeżdżam...

— Jakto? już całkiem?

— Niby to jeszcze nie całkiem, bo jadę ztąd do Grignon na dwa tygodnie i mam jeszcze powrócić, ale wróciwszy, nie zabawię już więcej jak tydzień, zaczem zaledwie tak długo, abym mógł wszystkich pożegnać. Nie wiem, czy jeszcze pana tu znajdę. Ale zmiłuj się pan, przecież nam tego nie zrobisz, ażebyś do Zawisłocza nie wstąpił?

— Będę o tem pamiętał.

— Ale co to pamiętał! To trzeba koniecznie, to trzeba napewno. Jakto? nie miałbyś pan teraz być w Zawisłoczu? nie widzieć mojego Karola? Ależ to nie może być! Ja pana trzymam za słowo. Ja pana bardzo proszę, ażebyś był w Zawisłoczu. A nawet, przyznam się panu, że mi na tem nie mało zależy...

Uśmiechnąłem się na to i rzekłem:

— Pan jesteś grzecznym na wszystkie możliwe sposoby.

— Nie panie, wcale grzecznym nie jestem i nie o grzeczność tu chodzi. Pan wiesz, czem był Karol, kiedy wyszedł z więzienia. Policzyliśmy go pomiędzy moralnie umarłych. Dziś jest on jednym z pierwszych pomiędzy żywymi. Pan już wiesz, jak się to stało; ale ażaliż nie warto widzieć, jak taki człowiek żyje?... No jakże? ominiesz pan Zawisłocze, chociaż panu będzie na drodze?

— Ale nie, wstąpię najniezawodniej, jeżeli tylko jeszcze w tym roku powrócę.

— No, to ja liczę na to z pewnością, zapowiadam pana gościem w Zawisłoczu i z tem polecam się jego pamięci.

To rzekłszy, ścisnął mnie prawie nerwowo za rękę—i zniknął w tłumie.

Od tego czasu już go nie widziałem w Paryżu.

* * *

Takie to tedy były te kilkakrotne spotkania moje ze Skibą, które mi się dotychczas zachowały

w pamięci. Sprawiły one na mnie niezatarte wrażenie — przedewszystkiem dlatego, iż mi uzupełniły charakter tego człowieka, którego znałem od lat niepamiętnych i zawszem się mu przypatrywał ciekawie — lecz niemniej także dlatego, iż wtedy dowiedziałem się od niego całej historyi Karola, w którą mnie wtajemniczył tak dobrze, że mogłem ją uczynić przedmiotem niniejszej powieści.

Ale i wtajemniczenie to nie byłoby mi dało dosyć jasnego wyobrażenia o ostatniej metamorfozie Karola, a przynajmniej nie mogłoby utrwalić we mnie wiary, że ta metamorfoza jest rzeczywiście ostatnią—znałem bowiem sam tego młodzieńca dawnemi laty jaknajdokładniej.

Był on cokolwiek starszym odemnie, ale tak mało, żeśmy razem odbywali nauki. Mieszkaliśmy nawet przez kilka lat w jednym domu we Lwowie, i żyli z sobą w dosyć blizkich stosunkach. Nie brakło i potem między nami dosyć częstych relacyi — ale pomimo to wszystko nie mogę wcale powiedzieć, ażebyśmy licowali z sobą uczuciami, opiniami, lub wogóle jakąś bliższą moralną korespondencyą. Za młodu bowiem był to chłopiec strasznie zuchwały, dumny, uparty i niezmiernie zarozumiały. On wszystko najlepiej rozumiał i umiał, nigdy nic sobie nie dał zaprzeczyć, a najczęściej czynił jakąbądź z sobą rozmowę wprost niepodobną. Prócz tego wyznawał jeszcze zasady takie, jakie niektórzy ludzie pod koniec XVIII wieku wyznawali we Francyi, i nie chciał tego wcale zrozumieć, że były to poprostu obrzydliwości. Taki Robespierre w osiemnastce mógł był być dosyć zabawnym na chwilę, lecz na

czas dłuższy obudzał ckliwość, a w końcu stawał się wcale odrażającym. Takim był Karol za czasów szkolnych.

Niebawem potem zaszłe zdarzenia sprowadziły nas znowu razem z sobą. Przeżyliśmy wtedy między czterema ścianami wiele dni długich niezmiernie, ciekących wolno jak kropelki wilgoci ze skał podziemnych, przygniecionych boleścią suchą, nudną i jednostajną, a przynoszących tylko tyle pociechy, ile jej człowiek może znaleźć w samym sobie i w Bogu. Karol natenczas żadnego Boga nie szukał, a w samym sobie znalazł tylko truciznę. Przerzucił się wtedy, jak to już wiemy, w ostateczność przeciwną i utonął w rozpaczy, którą sobie przybrał w powskrzeszane przez siebie, zagrobowe marzenia. Takie marzenia są piękne, oh! ledwie co może być od nich piękniejszem na ziemi! ale powinny one być tylko dodatkiem do życia. Potrzebne są bowiem tylko o tyle, o ile chcąc rów przeskoczyć, potrzeba się wrócić w tył, ażeby dostatecznego nabrawszy rozpędu, nie chybić skoku. Ale przeszłość i sama przeszłość, jako jedyna karma dla życia, jako treść jego wyłączna—to czarna rozpacz, to martwota, to śmierć. Jeżeli mi tedy Karol niewiele zrobił o sobie nadziei wtedy, kiedy chciał zakrwawić połowę świata, ażeby przynieść zbawienie drugiej — to może jeszcze mniej wtedy, kiedy przyjął opinię, że teraźniejszość i przyszłość nie warte są żadnej uwagi, a martwe o przyszłości marzenia jedynem szczęściem na ziemi.

Nie przeczę temu, iż ludzie takich przekonań mają w sobie jednę stronę piękną i zajmującą, są

oni jak owe kwiaty zamyślone i smutne, które rosną na grobach i kwitną tylko umarłym, jest w nich woń jakaś jakgdyby zagrobowa, nadziemska, chwilami pełna najpiękniejszego uroku — lecz nie mniej przeto rzeczą jest pewną, że na dnie takich przekonań leży poprostu martwy, drewniany, lodowaty sceptycyzm, który gdziekolwiek tylko się ruszy w teraźniejszości, prowadzi do takich samych zasad i czynów, jak nagi i niczem nieupiększony realizm...

Komu na tem zależy, niechaj sobie dosnuje tę myśl do końca i niech ją sprawdzi na najbliższych znajomych—ja tylko dodaję, iż kiedy dostrzegłem takie usposobienie w Karolu, straciłem dla niego resztę mojego zajęcia.

Spotykałem go potem zwijającego się błyszczącym faetonem po Lwowie w czasach takich, kiedy wszyscy byli spieszeni i chodzili z opuszczonemi głowami—widziałem go starającego się o szambelanównę, a znałem szambelana i Fonsia. Tak przyszło wreszcie do tego, żem o nim zapomniał zupełnie...

Aż dopiero Skiba opowiedział mi historyę ostatnich lat jego, historyę dziwną i wcale niespodziewaną. Jakie wiadomośc ta sprawiła na mnie wrażenie, nie potrzebuję powiadać. Zaledwie mogłem temu wszystkiemu uwierzyć. Ale Pan Bóg jest wielki — a za Jego pomocą i człowiek może się z czasem stać większym, aniżeli się na świat urodził. Musiałem zresztą Skibie uwierzyć, wszystko to bowiem, co mi powiadał, nie wyglądało żadną miarą na historyę zmyśloną...

Jakoż, jeżelim kiedy pragnął czego ze szczerego

serca, to pewnie niczego więcej, jak obaczyć natenczas Karola i jego żonę. Postanowiłem też sobie jak najsolenniej za powrotem moim wstąpić do Zawisłocza i zabawić tam najmniej dni kilka. Postanowienie to chowałem nawet jak najpilniej w pamięci, chociaż jeszcze potem dość długo nie wracałem do kraju...

Ale w tym wirze co chwila się zmieniających uczuć i myśli, w tym niezliczonym natłoku zdarzeń, w tym czasie naszym, pędzącym z taką niepowstrzymaną szybkością, czegoż to się nie zapomni? Tak i te powieści Skiby ustąpiły pomału miejsca innym i zasunęły się w jakiś tak oddalony zakątek mojej pamięci, jakgdyby ich wcale nie było. Wróciłem natenczas z zagranicy, przejechałem o milę od Zawisłocza i ani mi na myśl nie przyszło, żeby odwiedzić Karola.

Aż dopiero w rok potem, wracając znowu z jakiejś wycieczki po za granicę kraju, dnia jednego o wczesnej godzinie rannej stanąłem w Pilznie. Zatrzymałem się przed pocztą i wyprawiłem służącego, ażeby mi konie zmieniono—a sam tymczasem zasunąłem się w głąb powozu i przymknąłem oczy, ażeby po ustawicznym turkocie kół choć na chwilę wypocząć. Nie wiem, jak długo tak spoczywałem, ale zapewne nie mgnienie, bo już mi się zaczęły marzyć na dobre te dawne czasy, w których to tak ubogie dzisiaj miasteczko nie było bez pewnego znaczenia, bez zamożności, a nawet i bez świetności. Było ono natenczas stolicą powiatu i miało gród starościński, bywały tu zjazdy liczne, odprawiały się kondescencye, sądy, wybory i powiatowe sejmiki. Kościół tu-

tejszy był nieraz świadkióm głośnych rozgwarów, mów pięknych obywatelskich, rad walnych na korzyść pospolitego dobra, a czasem może i brzęku karabel. Raz nawet całą jego posadzkę krwią zlano i zaścielono trupami, ale na szczęście stało się to *pro publico bono*. Było to bowiem czasu konfederacyi barskiej. Sawa stał tutaj w okolicy obozem, a w mieście zostawił tylko małą załogę. Sprowadzeni przez tutejszego wójta, weszli tutaj nieprzyjaciele i częścią wytłukli, częścią rozpędzili załogę, a sami osadzili się w mieście. Odebrawszy o tem wiadomość, wpadł znowu Sawa i zgromił nieprzyjaciela na rynku. Niedobitki cofnęli się do kościoła i obwarowali na chórze, lecz doścignieni i w pień wycięci od nieubłaganych konfederatów. Złowiono potem zdradzieckiego wójta, rozkrzyżowano na bramie jego własnego domu i kilkunastu kulami posłano za tymi, których na nieszczęście swych braci tutaj sprowadził. Okropny to musiał być widok, kiedy ten człowiek w krzyż rozbity na własnym domu patrzał mdlejącemi oczyma w cały szereg luf wymierzonych ku niemu, a mieszkańcy całego miasta stali w szerokiem półkolu, urągając ohydnemu zdrajcy i miotając przekleństwa na jego duszę, wyrywającą się z ciała... Dom ten wójtowski stał natenczas przy rynku, może jeszcze dziś stoi, może nawet istnieje ta brama...

Tak marząc półsennie, otworzyłem oczy, ażeby się rozejrzeć za tym domem i bramą, lecz zamiast domu i bramy, ujrzałem konie już zaprzężone przy dyszlu. Żal mi się zrobiło, że je zaprzężono tak prędko, gdy jednocześnie spostrzegłem, że konie te, które mi zaprzężono, nie mogły żadną miarą pocho-

dzić z poczty. Wyjątkowym od wszystkich poczt galicyjskich sposobem, wyborne ma zawsze konie poczta pilzneńska, ale takich niema i mieć ich nawet nie może. Były to bowiem dwa zloto-gniade wałachy, duże, wyniosłe i przynajmniej półkrwi angielskiej, ubrane zaś w lekkie a lśniące półszorki, wyglądały tak, jak gdyby je dopiero wyprzężono z wiedeńskiej karety. Zerwałem się prędko, aby zapytać, co ta niespodzianka ma znaczyć, kiedy wtem ujrzałem stojącygo tuż przy stopniu jakiegoś młodego i przystojnego człowieka, ktory mi patrzył z uśmiechem w twarz i właśnie mówił:

— Spodziewam się, że teraz pewnie już wstąpisz do Zawisłocza.

Był to Karol.

Poznawszy go, chciałem natychmiast wyskoczyć do niego na ziemię, ale mnie chwycił prawie w powietrzu i natomiast sam usiadł przy mnie, a do stangreta zawołał:

— Jedź, z panem Bogiem.

Rozmowy mianej przez drogę nie będę tutaj powtarzał, mieliśmy bowiem tak wiele ważnych rzeczy sobie do powiedzenia, żeśmy rozmawiali o wszystkiem, nie wyczerpawszy niczego. Dowiedziałem się tylko od niego, iż przyjechał do Pilzna, ażeby oddać jakieś pieniądze na pocztę, a zarazem odprowadził żonę i matkę, które pojechały w odwiedziny w jakieś dalsze sąsiedztwo i dopiero wieczorem powrócą.

— Doskonaleś więc trafił — dodał do tego—bo zjemy sobie w sukniach podróżnych kawalerski obiadek, zajrzymy do gospodarstwa, jeżeli cię to nudzić

nie będzie i przepędzimy dzień cały na pogadankach swobodnych.

Zajechaliśmy wreszcie do Zawisłocza.

Kiedyśmy weszli do pokoju, przeznaczonego dla mnie, a znajdującego się w odnowionych murach starego zamku, ja wziąłem mego gospodarza ku oknu, mówiąc do niego po drodze:

— Przedewszystkiem innem pokaż mi się, niech cię dokładnie obejrzę; oszczędzę ci przez to z jakich dwadzieścia pytań, a zresztą zaspokoję moją ciekawość i w tem, o cobym wcale nie pytał.

A przypatrzywszy mu się, znalazłem, że się do tego czasu i zewnętrznie znacznie odmienił. Rysy jego twarzy zgrubiały, cera się osmaliła, dawny blask oczu nie przygasł wprawdzie, ale zamienił się w światło łagodne i jednostajne. Zmężniał przytem do niepoznania, może i wyrósł cokolwiek, a utył wcale widocznie. Twarz jego zdradzała na pierwszy rzut oka człowieka, który w gospodarskiej skrzętności trawi swe życie, przez co nabrała wyrazu pewnej pospolitości, ale za przypatrzeniem się bliższem nie trudno było dostrzedz śladów głębszego myślenia; wogóle zaś po całej twarzy był rozlany ten spokój przytomny sobie, a trzeźwy, z jakim się nikt nie urodził, a każdy nabył tylko doświadczeniem i pracą. Ubrany był zresztą dosyć skromnie, czysto, ale niedbale.

Uśmiechał się, kiedym go opatrywał, a potem rzekł:

— Jakże znajdujesz, odmieniłem się bardzo?

— Bardzo.

— Dwoma słowami: jaką znajdujesz zmianę?

— Pewna część ducha zamieniła się w ciało, ale... nie bez korzyści.

Po tej uwadze uśmiech zniknął z jego twarzy, jak błyskawica. Odstąpił nawet odemnie i przeszedł się w zamyśleniu po izbie. A powróciwszy, rzekł mi ze smutkiem:

— Ha! tak to jest. Ale niestety! inaczej nie mogło być. Dwom panom służyć nie można. Nasze gospodarstwa dzisiejsze są tego rodzaju, że absorbują całego człowieka, a czasem nawet i tego zamało. Ja robię z siebie co mogę, ażeby nie zcieleśnieć zupełnie... ale...

Musiałem mu przerwać.

— Pozwól-no—rzekłem—zdaje mi się, żeś mnie zrozumiał inaczej, aniżeli chciałem być zrozumianym. Nie widzę na tobie nic innego, jak na wszystkich, jak zresztą na sobie samym. Twoja kolej, to jest zwyczajna kolej każdego żyjącego człowieka. Kiedy Bóg stwarza człowieka, daje mu duszę, a ziemia daje mu tylko tyle ciała, ażeby dusza miała się przy czem utrzymać. Każde dziecko jest jakby eterycznem stworzeniem, żyjącem tylko chwilami na ziemi, a zresztą w świecie duchowym. Ale ta lekkość, eteryczność, ta swoboda duchowa, nie da się długo zatrzymać. Z czasem duch ludzki przytomnieje pomału, ucieleśnia się, twardnie, a ciało przybiera coraz więcej ziemi do siebie, aż w końcu tyle jej w siebie nabierze, że pada swoim ziemskim ciężarem i na powrót staje się ziemią.

Mówiliśmy o tem jeszcze przez chwilę, a Karol mówił ciągle ze smutkiem. Musiałem mu tedy znów przerwać i rzekłem:

— Nie wiem, dlaczego rozmawiamy o takim przedmiocie, w którym nic nie wymyślimy nowego. Mojem zdaniem, szkoda nawet czasu na psychologiczne rozprawy. Na tem polu rozum ludzki dawno już dotarł do dna, a nie znalazłszy nic na niem, pozostawił wprawdzie pobudowane przez siebie teorye, ale sam w nie nie wierzy. Stosunek ducha ludzkiego do ciała jest jedną z tych niezliczonych tajemnic, które Pan Bóg dla siebie zostawił. Nie naśladujmy tytanów, nie przypuszczajmy szturmu do fortec boskich. A natomiast gospodarujmy skrzętnie tam, gdzie nam gospodarować wolno. Jakże więc twoje gospodarstwo? jak interesy? jakie widoki? Jak mi powiadał Skiba, jesteś szczęśliwym pod każdym względem, a nawet bogatym.

— Szczęśliwym?—rzekł Karol na to—tak, rzeczywiście, nie mogę tego zaprzeczyć. Jestem szczęśliwym w oczach ludzkich, a co ważniejsza, szczęśliwym nawet w mem własnem sercu. Ale wiesz, co mi przyniosło to szczęście? może Zawisłocze oczyszczone przezemnie z długów? może Przewoźniki wzięte za żoną? Może Grzymalin, odziedziczony po Izydorze? może najlepszą żona? najukochańsze dzieci?... Wszystko to widzą ludzie i to mi liczą za szczęście. Ja nie zaprzeczam temu, że jest to także część szczęścia, ale właściwe szczęście, to uczucie pogody w duszy, do którego dopiero w tych latach przyszedłem, dała mi tylko moja własna praca. Chociażby wszystko najlepsze posiadał, nie może być nigdy człowiek szczęśliwym bez pracy rzetelnej i skrzętnej, poświęconej jakiemuś poważnemu celowi i czyniącej go pożytecznym członkiem swojego

społeczeństwa. Najobfitsze dostatki, spadające na cię z nieba, przyniosą ci tylko radość, za którą zwykle idzie w ślad przesycenie i nuda: prawdziwe szczęście może ci tylko to przynieść, co zdobyłeś swą własną pracą. Ja jestem bardzo szczęśliwym, ale ja ciężko pracuję. Chodź, pokażę ci moje gospodarstwo.

To rzekłszy, Karol już był w jaknajlepszym humorze. Wzięliśmy kapelusze i wyszli w dziedziniec. Już z widoku samego dziedzińca nie trudno mi było powziąć wyobrażenie, jaki porządek tam być musiał zaprowadzonym. Każdy tu kącik bowiem był umiejętnie zużyty, wszystko obwarowane, a wszędzie czystość, jakby w pokoju. Z dziedzińca szliśmy najpierwej do stajni, oglądając z kolei bydło, owce i drób, konie robocze i gospodarskie naczynia. Przy tym obchodzie uderzył mnie najpierw ten szczegół, iż znalazłem krowy ogromne, utrzymane prześlicznie i bezzawodnie pochodzenia holenderskiego, nie było ich wszystkich nad kilkanaście.

— Czy nie trzymasz krów więcej?

— Ani jednej. Zdaje ci się za mało?

— Na Zawisłocze oczywiście za mało.

— No, a ja cię przekonam cyframi, że dostatecznie.

Tu zabrał głos i opowiedział mi aż do najdrobniejszych szczegółów, ile go te krowy kosztują, ile corocznie ich utrzymanie i jakie z nich ma korzyści.

— Krowy te — mówił — kosztują mnie dużo, zjadają niezmiernie wiele, ale mi dają tyle mleka, ile dom potrzebuje, a przychówek od nich przed-

stawia korzyści, zupełnie odpowiednie nakładom. To też jedyny jest sposób, za pomocą którego u nas można się z krowami doliczyć jakiegokolwiek rachunku. Trzymać krów wiele a ladajakich, choćby nawet i takich, które tu w kraju nazywają się dobre, to oczywista jest strata. Żywić je źle, nic nie przyniosą; żywić je dobrze, nie powrócą nakładu. Mleka niema, a przychówek kosztuje więcej, aniżeli można za niego odebrać. U nas to nawet inaczej nie może być. Dopóki bowiem bydło to wchodzi z Podola, Wołoszczyzny i Bessarabii, dopóki chłop nasz będzie się bawić takim chowem bydła, przy którym za nic sobie liczy obróconą na to karmę i pracę, my z nimi konkurować nie możemy. Chów bydła u nas, o którym tak wiele gadają, jest to tylko teorya, którą praktyka zbija jaknajzupełniej — i póty pozostanie teoryą, dopóki miejscowa konsumcya mięsa nie podniesie jego wartości do innej cyfry, a tego my podobno nie dożyjemy. Na cóż mi zresztą chować bydło na większą skalę, kiedy ja w roku zakupuję kilkadziesiąt sztuk bydła za tanie pieniądze, zużywam niem moją karmę i sprzedaję je potem tak dobrze, że nietylko mi się wszystkie wydatki opłacą, ale jeszcze zazwyczaj pozostaje znaczna nadwyżka korzyści? Jak wrócimy do domu, pokażę ci kilkoletnie rachunki, a z nich przekonasz się o tem cyframi.

Taką samą zasadę cyfrową zastałem wszędzie. Pokazywał mi drób ogromny, karmiony rozmaitemi takiemi surogatami, o które nie trudno przy gospodarstwie, konie robocze, grube i silne, lecz małe i najlichszego gatunku, karmione trzecią częścią tego

co potrzebuje koń duży, a w pracy daleko wytrwalsze od niego — nakoniec woły używane do pługa, dlatego lepsze od koni, iż robią i rosną przytem w wartości. Oglądaliśmy dalej wozownie, składy narzędzi i naczyń i innych gospodarskich rupieci, wszystko to utrzymane i poskładane w jaknajlepszym porządku, a co mnie przytem uderzyło najwięcej, to to, że sam wiedział o każdym pługu i wozie, o każdej bronie i każdym niemal chomoncie. Poszliśmy potem do piwnego browaru, który był w ruchu.

— Browar — rzekł mi tam Karol — pędzę na własną rękę i dlatego krowy mam takie tłuste, chociaż tyle buraków nie sadzę, jak niegdyś Skiba.

Przeszliśmy wreszcie do gorzelni, którą właśnie restaurowano, ażeby za kilka dni zacząć robotę.

— Gorzelnia u mnie idzie zazwyczaj dziesięć miesięcy. Nie trudno mi o to, bo mam na nią produkty z Zawisłocza, z Przewoźnik, a teraz i z Grzymalina. Jest to wprawdzie nie gospodarstwo, tylko fabryka, ale u nas inaczej nie można; trzeba się chwytać nawet i fabryk, jezeli tylko korzyść przynoszą i dadzą się z gospodarstwem pogodcić.

— A przynosi ci gorzelnia korzyści?

— To jest...—odpowiedział mi Karol, zastanawiając się trochę — to jest, właściwie tylko tyle, że mi się opłaca. Ale ogromną przynosi mi korzyść tem, że mi zapewnia, ułatwia i reguluje sprzedaż produktów, konsumuje drzewo i płaci za nie, przynosi na zawołanie gotówkę, a wreszcie pomnaża znacznie ilość nawozu w sposób prosty, pewny i nie-

kosztowny. W innym kraju, gdzie gospodarstwu towarzyszą inne okoliczności, rzecz oczywista, że nigdybym tu nie pędził gorzelni; co ja mam z tem pracy, zachodów i najnieznośniejszych kłopotów? — ale tu trzeba się nawet przed kłopotami nie wzdrygać, jeżeli się to opłaca. Przyznam ci się nawet, że ja tu u nas nie pojmuję gospodarstwa bez gorzelni, tak ona jest mi potrzebną, tak nawet niezbędną...

Pod gorzelnię podprowadzono nam konie wierzchowe, wsiedliśmy na nie i wyjechaliśmy w pole. Była to pora jesienna, już było po zbiorach, ale i po zasiewach, a zatem można było coś widzieć. Przypatrywałem się jego rolom ciekawie i znalazłem, że wszystko to, co zaprowadził był Skiba, było do gruntu zmienione. Widziałem na górach łan żyta, wynoszący pewnie ze siedmdziesiąt morgów, na nizinach łan pszenicy przeszło sto morgów, łan ziemniaczyska także około sta morgów, a z plantacyi buraków, turnipsu, brukwi, ani śladu.

— Biedny Skiba!—rzekłem do Karola z uśmiechem—nie pozostało tu po nim ani pamiątki.

— Czy chcesz, ażebym ci się z tego usprawiedliwił?

— Ale gdzietam! Jest tó naturalna konsekwencya tego, co już widziałem. Niepodobna jest dzisiaj gospodarować, nie znając wszystkich teoryi, jakie są znane oświeconemu światu, ale jeszcze daleko niepodobniejsza, teorye te wprowadzić na ślepo w życie. Można je zaprowadzić i przeprowadzić z najlepszym skutkiem, ale tylko do pewnego punktu, to jest wyprodukowania produktów; dalej już ani

rusz, chyba, że ktoś chce poprzestać na trzeciej części dochodów...

— Otóż to jest cała tajemnica naszych gospodarstw—rzekł na to Karol.—Jak widzisz z moich ról, zrozumiałem ją dobrze. Gdzie wszystko jest tak dowolne, jak u nas, tam i gospodarstwo musi być koniecznie dowolne. Jednakże nie myśl, ażebym miał coś do zarzucenia Skibie. Owszem, nawet za jego gospodarstwo jestem mu wdzięcznym niezmiernie. Wszystko złe bowiem, które mnie spotkać mogło, nawet musiało, a niezawodnie byłoby spotkało w sposób daleko dotkliwszy niż jego, on wziął na siebie i odemnie na zawsze odwrócił. Nauczył on mnie pomimowoli, co być nie może, a to jest nauka niezmiernie ważna i zazwyczaj bardzo kosztowna. A nauczył mnie także, co być może; pokażę ci rzędową uprawę rzepaku, sposób sadzenia ziemniaków-rozmaite surogaty karmy dla bydła i drobiu i mnóstwo gospodarskich narzędzi, zastosowanych przez niego—wszystko to bardzo rozumne, praktyczne i zachowane przezemnie na zawsze. Już to ci muszę powiedzieć, że ten Skiba jest dla mnie pod każdym względem skarbem takim, którego nigdy i niczem nie potrafię zapłacić...

Powracając do domu, Karol mi opowiadał dalsze szczegóły gospodarstwa swojego. Nauczał mnie, jakich się trzyma zasad w swojem gospodarstwie dowolnem, jak zawsze wszystko poświęca potrzebom tym, które wykazuje rachunek, jak gospodaruje Przewoźniki, jak Grzymalinem zarządza, jak prawie główny ster całej tej gospodarskiej machiny we wła-

nych trzyma rękach, sam będąc rządcą, kontrolerem, kasyerem i wszystkiem.

— Nie trudno ci z tego zrozumieć — zakończył swe sprawozdanie — jak ciężką i zmudną, nieustającą pracą są wypełnione wszystkie dni moje. Wstaję codziennie wcześniej niż słońce, zawsze sam wszystkie kąty obejdę, rozdysponuję wszystkie roboty i dojrzę początku ich wykonania; załatwiam potem sprawy handlowe, fabryczne, rzemieślnicze i inne, piszę listy, odprawiam pocztę, Ledwie wstanę od stołu, muszę znów obejść wszystkie zakątki, zajrzeć do stajen, gorzelni, browaru, wyjechać w pole, co drugi dzień prawie być w Przewoźnikach, a przynajmniej dwa razy na tydzień w Grzymalinie. Dolicz do tego raporty i dyspozycye wieczorne, dolicz, że muszę często zaglądać do kuchni, gdzie jada czeladź, ażeby każdy miał co mu się należy, dolicz te ciągłe interesa z gromadą, z którą po staremu utrzymuję patryarchalne stosunki, dolicz wszystkie zajęcia nieprzewidziane, a wtedy pewnie mi nie zaprzeczysz, że żaden koń chodzić nie może w cięższym odemnie manežu. Ale doświadczenie mnie nauczyło, że tak być musi. Albowiem to tylko jedno utrzymuje w mojem gospodarstwie taki, jak widzisz porządek, to tylko mi daje rękojmię, że żaden człowiek, żadne bydlątko, będące na moich usługach, nie doznaje krzywdy i to tylko zapewnia mi takie dochody, z jakich ci się książkami wykażę. A zresztą to tylko taka rzetelna, nieustająca praca, zrobiła ze mnie nareszcie człowieka. Kiedy sobie przypomnę, czem to ja byłem przez całą młodość, a zarazem widzę, czem i natenczas być mogłem, to mnie niele-

dwie obrzydzenie porywa przed samym sobą. Praca tylko i tylko praca może człowieka zrobić tem, czem go Pan Bóg mieć chciał, kiedy go stwarzał. O! gdyby to mogli, gdyby chcieli zrozumieć wszyscy, pomimo naszych najnieszczęśliwszych okoliczności, jakże bogatym, jak silnym, jakim potężnym bylibyśmy narodem!

Jechaliśmy przez długi czas stępa przy sobie, w nieprzerwanem milczeniu. Spojrzał na mnie Karol, a potem spytał:

— Jesteś coś zamyślouym...

— Myślę o twojem gospodarstwie.

— Cóż myślisz?

— Myślę i to i owo...

— Proszę cię, przecież nie będziesz zdań swoich obwijał przedemną w bawełnę. Mogę ci za to zaręczyć, że wszystko przyjmę od ciebie, na każde pytanie odpowiem ci jak na spowiedzi, a nawet bardzo cię proszę o tę prawdę otwartą, o którą tak dzisiaj trudno, a której się napewno spodziewam od ciebie. Cóż tedy o mojem gospodarstwie rozumiesz?

— Rozumiem to, co oczy widzą, inaczej nawet nie można. Wszystko tu jak dzień i nie potrzebuje objaśnień. Wszystko się tu obraca na czopach stalowych, wszystko oparte na cyfrach, wszystko idzie jak gdyby w zegarze i dlatego wszystko odpowiada wyrachowaniu. Bardzo mi się to podoba, bardzo to chwalę i życzę, ażeby każdy miał takie gospodarstwo u siebie. Bylibyśmy wtedy wszyscy bardzo bogaci i bylibyśmy materyalnie bardzo potężnym narodem. O tem niema ani wątpienia. Ale ja ci

dam inne pytanie, a mianowicie to: czy w tem gospodarstwie twojem niemasz niczego takiego, coby dogadzało tylko samej fantazyi?

Nie zrozumiał mnie Karol zapewne, bo odpowiedział mi na to bez myśli:

— A jakże ty chcesz, żeby w gospodarstwie polskiem obeszło się bez fantazyi? Zaraz ci ją pokażę.

To mówiąc, wjechaliśmy właśnie w dziedziniec, po którym w tej chwili przechadzała się, przypędzona zapewne z jego rozkazu z pola, mała stadnina koni. Zeskoczyliśmy z siodeł, a Karol prezentował mi po kolei matki i młodzież. Bardzo to ładna była ta garstka naszych najulubieńszych zwierząt, a nawet znajdowały się pomiędzy niemi egzemplarze znamienitej wartości, kilka klaczy pełnej krwi angielskiej, kilkoro źrebiąt ogromnej wielkości i zadziwiającej budowy. Zaczęto potem wyprowadzać ze stajni młodzież cztero i pięcioletnią, a w końcu stanął przed nami sławny ów „Sovereign“, który niegdyś tak rozpaczliwą odbył kampanię z wezbranemi falami Wisłoki. Przypatrując się tym zwierzętom, miałem wielką przyjemność, nietylko bowiem znalazłem pomiędzy niemi indywidua niepospolitej piękności, ale i cała ta stadninka wydała mi się taką fantazyą, na którą nie każdy się zdobyć potrafi. Wszakże w ten moment zabrał głos Karol i tak mówił:

— Otóż to jest moja fantazya! Mam czasem chwile, że jej się wstydzę przed samym sobą, bo rzecz oczywista, że to niezmiernie wiele kosztuje, a nic nie przynosi. Jest to więc wybryk, którego

w naszem położeniu nie można dosyć naganić. Ale mam nadzieję, że z czasem i ten wybryk zmieni swą postać i stanie się pożytecznym. Jak bowiem widzisz, jest to najpierwej stadninka założona na mierną skalę: dwanaście matek, więc cały ogół nie przenosi sztuk pięćdziesięciu. Pożera mi to paszy niezmiernie wiele, ale przecież nie tyle, ażeby mi to czyniło dotkliwy uszczerbek w dochodach. Powtóre, zapewneś to zauważył, że tylko kilka matek jest pełnej krwi, a reszta mniej szlachetna, a więc i mniej kosztowna. Ponieważ zaś przy zakładaniu tej stadninki głównie zważałem na to, ażeby otrzymywane produkty dochodziły do jak największej doskonałości tak pod względem czystości, jak siły, a przytem dosięgały jak najznaczniejszej wielkości, więc liczę na to, iż z czasem będę miał z tego i pożytek dla siebie i jeszcze tyle i tak dobrze będę mógł sprzedać co roku, że mi się to koniecznie opłaci. Obrachowałem koszta i widoki tego zakładu z najzupełniejszą trzeźwością i mam nadzieję, że mnie rachunek ten nie omyli. Ale tymczasem prezentuję ci to jako fantazyę.

Nie odpowiedziałem nic na to.

— Cóż o tem myślisz?—zapytał Karol.

— Myślę o cyfrach, które leżą na dnie tej fantazyi.

— Nielitościwym jesteś jak widzę — rzekł na to z dobrodusznym uśmiechem.—No, no to chodź-że jeszcze dalej, pokażę ci taką fantazyę, w której z pewnością żadnych nie znajdziesz cyfer.

I wziąwszy mnie pod ramię, zaprowadził w odwrotną stronę dworu, pod narożną basztę zam-

ku. Stanąwszy tam, muszę się przyznać, żem się nie pomału zadziwił. Tam bowiem, jeżeli sobie zechcemy przypomnieć, znajdowały się dawniej resztki starego włoskiego ogrodu, a dalej na dole las, obejmujący kilkadziesiąt morgów przestrzeni i rozciągający się aż do brzegów Wisłoki. Była to istna pustynia, zarzucona w bliskości zamku powyszczerbianemi alejami spróchniałych drzew i pozasuwanemi szkarpami, dalej obszernym moczarem, zarośniętym chwastami, a nakoniec tonącą w lesie chropawym, brzydkim i zasłaniającym wszelkie dalsze widoki. Teraz zamieniło się to wszystko w przepyszny park angielski, jak u nas, wcale ogromnych rozmiarów. Zakład ten nie był jeszcze skończonym, ale było już tyle zrobione, że można było przejrzeć plan cały i można go było przejrzeć jeszcze o tyle dokładniej, ile że późna jesień poobierała już drzewa z gęstwiny liści: najlepsza pora do oglądania tego rodzaju ogrodów. Przedewszystkiem tedy zniesiono tu dwie nieznośne szkarpy i zamieniono je napowrót w naturalne urwiska, ze starych alei pozostawiono tylko drzewa zdrowe i ładne i w grupach takich, że nie nużyły oka swą przystrzyżoną regularnością; wybrana na środku dawnego moczaru sadzawka i poprowadzona fantastycznemi zwrotami w głąb lasu, zmieniła resztę moczaru w gładkie i równe murawy, a zarazem ożywiła zwierciadłem wody to posępne ustronie—przecięty nareszcie szerokiemi pasami las, w jednę stronę wprost ku Wisłoce, a w drugiej trochę na prawo, otworzył tutaj prześliczny daleki widok na Przewoźnicki pałac, jego ogrody i białą gloryetkę stojącą tamże na wzgór-

ku, a tam na prawo odnosił widok Starego przewozu i chatki Bernata, w tak przyjemne i drogie wspomnienia bogatej dla mieszkańców Zawisłockiego dworu. Już tych kilka szczegółów, o których dotąd wspomniałem, były dla mnie dostatecznemi, ażeby poznać, że ten, który plan tego parku rysował, miał nieposolity zmysł ogrodniczy, musiał nie mało ogrodów widzieć w swem życiu i miał także fantazyę po temu. Ale było takich dowodów jeszcze daleko więcej, gdziekolwiek bowiem było jakich kilka pięknych drzew w lesie, gdzie była jakaś zaciszna równinka, jakiś piękniejszy widoczek, wszystko to odsłonięto, dla każdego mostku, dla każdej kanapki, poręczy albo kamienia umiano obrać miejsce najstosowniejsze, gdzie zaś się okazała potrzeba drzew nowych, wiedziano najdoskonalej czy szpilkowe, czyli liściaste, karłowate, czy wielkie będą tutaj na swojem miejscu. Po tych nieustających cyfrach, któremi mnie Karol przez kilka godzin tak pracowicie częstował, odetchnąłem tu z głębi piersi i rzekłem.

— A! przecież coś obaczyłem u ciebie, co utworzyła fantazya bez cyfr! Powiedz-że mi, któż zarysował plan tego ogrodu.

— Twój nizki sługa — odpowiedział mi Karol z udaną dumą, lecz zaraz dodał: — Ale proszę cię, przypatrz się dobrze planowi tego ogrodu i powiedz mi, jakie uczucie kierowało głównie tym sługą, kiedy ten plan rysował? Jeżeli zgadniesz, to mnie tem bardzo ucieszysz, tak bardzo, że wolno ci będzie za to dawać mi choćby najdziksze pytania i na wszystko będę ci odpowiadał.

Przypatrzyłem się otworzonym widokom na Przewoźniki i chatkę Bernata i rzekłem:

— Jeżeli tu kierowało tobą jakie uczucie, to oczywiście nie inne, tylko miłość dla żony.

O mało mi się nie rzucił na szyję, tak go ta drobna rzecz ucieszyła. Nie trudno mi było domyśleć się z tego, jak musi kochać tę żonę, jakim jest mężem i jakie serce ma dla niej. Jakoż wistocie dziwnie mu teraz roztajało to serce i rzekł zaraz do mnie:

— Nie będę ci chwalił mej żony, będziesz ją widział, a więc sam ją osądzisz. Kończymy teraz naszą rozmowę. Dawaj mi dalsze pytania, których nawet jestem bardzo ciekawy, bo widzę, że moje gospodarstwo, chociaż je chwalisz, przecież nie tyle ci się podoba, ilebym pragnął. Jeżeli sądzisz, że ta cała machina moja trąci za nadto spekulacyą, fabryką, domem handlowym lub czemś podobnem, to mi to powiedz otwarcie, będę ci się tłómaczył.

— Ale do czegoż! Powiedziałem ci już przecie przed chwilą, że rzeczy te nie potrzebują żadnych tłómaczeń. Duszą twojego gospodarstwa jest nagi, trzeźwy realizm, ale to nie może inaczej być. Czasy gospodarskich fantazyi bezpowrotnie już przeminęły; kto je dziś jeszcze chce mieć, ten się musi wyrzec dochodów. O tem nie potrzebujemy już nawet wspominać. Również podoba mi się to, że tak skrzętnie pracujesz. Praca wyrabia człowieka, uszlachetnia go, uzacnia, podnosi i dozwala mu przeżyć tem łatwiej i weselej to życie, które w naszych opłakanych okolicznościach zawsze jest trudnem, czasem ciężką chorobą, nieraz nawet męczeństwem. Bez

pracy zresztą nie będzie kołaczy, stare to i prawdziwe, lubo już zapomniane przysłowie. Jakoż nie o to mi chodzi, tylko o to, iż zdaje mi się, że ty, posiadając tak rozległy majątek, zanadto może daleś się gospodarstwu pochłonąć: mała zmiana w administracyi zaradziłaby temu zupełnie, nie uszczupliłaby ci dochodów, a za koszt utrzymania jednego człowieka dałaby ci niezmiernie wiele wolnego czasu, ktoregobyś mógł użyć, obawiam się powiedzieć pożyteczniej, ale przynajmniej wznioślej i trochę więcej duchowo.

— Ciężką mam z tobą przeprawę—rzekł na to Karol—ale kontent z niej jestem, bo czy mi przyznasz słuszność, czy mnie inaczej przekonasz, zawsze na tem skorzystam. Przedewszystkiem tedy muszę ci zrobić uwagę, iż jak mi się zdaje, zrobiłeś sobie trochę przesadzone wyobrażenie o moim majątku. Zawisłocze to dobra wieś, Przewoźniki także są niezłe, obiedwie te wsie przynoszą mi jakie takie dochody; ale oprócz nich przyszedłem jeszcze do posiadania Grzymalińskiego państwa, a to robi wielką różnicę. Grzymalin bowiem został wprawdzie zapisanym przez Izydora, ale dobra te były przez niego wypuszczone w dzierżawę na lat dwanaście i prawie cała należytość wybrana. Rzeczy tej tak nie mogłem zostawić i musiałem ten majątek wykupić, a to mnie kosztowało indemnizacyę Zawisłocza i Przewoźnik, do której jeszcze trzeba było coś dopożyczyć. Prócz tego trzeba jeszcze funduszów na zaprowadzenie własnego gospodarstwa w Grzymalinie, których nie miałem, trzeba było jeszcze pieniędzy do Przewoźnik i Zawisłocza; dość, że się

skończyło na tem, iż dzisiaj mam dług Towarzystwa kredytowego na wszystkich dobrach, a i nadto jeszcze niektóre ciężary. Taki jest stan mego majątku. W takich okolicznościach, jeżeli dzisiaj tak stoję, że chociaż wciąż jeszcze jestem na dorobku, przecież mam dosyć na opędzenie wszystkich potrzeb zwyczajnych i niezwyczajnych, to mam to do zawdzięczenia tylko temu, iż tak uprościłem administracyę, że na Przewoźnikach trzymam tylko jednego staropolskiego ekonoma, na wszystkich pięciu Grzymalińskich folwarkach tylko jednego ekonoma i jednego pisarza, a zresztą sam jestem wszystkiem. Wiem o tem dobrze, że taka administracya jest poprostu ostatecznością i to ostatecznością taką, która mnie całego pochłania i zamienia mnie w mego oficyalistę—ale gdybym ten stan rzeczy chciał zmienić, musiałbym się przerzucić w ostateczność drugą, niezawodnie daleko gorszą. Dostać bowiem człowieka, któryby mnie mógł całkowicie zastąpić i obowiązki swoje wypełniał tak ściśle, jak ja je wypełniam, jest prawie niepodobieństwem. Nie pozostałoby mi tedy nic, jak zaprowadzić administracyę taką, jaką mają panowie niemieccy po swoich dobrach na Szląsku, w Czechach, Morawii i wszędzie indziej. Zwiedzałeś zapewne sam takie dobra, więc wiesz bezemnie, jakie to ciągnie za sobą skutki. Gdzie są lasy, tam są i dochody — lecz gdzie ich niema, tam są także dochody i bardzo znaczne, ale większa połowa z nich idzie na koszta administracyi. U nas, postępując sobie oględnie, administracya taka możeby zresztą kosztowała cokolwiek taniej — ale zawsze nie stać mnie na nią.

W takim bowiem razie ze wszystkich wsi moich miałbym zaledwie tyle, ile mi potrzeba na życie, byłbym ciągle biednym niewolnikiem każdego grosza i nie mógłbym sobie pozwolić ani najskromniejszej fantazyi. Tak zaś, kiedy ja jestem wszystkiem, kiedy to, coby mi wzięli Ober-Verwalter, kasyer, kontroler, trzech Unter-Verwalterów i ze trzech adjunktów, pozostaje się w mojej kieszeni, jestem nietylko swobodnym w moich wydatkach, ale mi jeszcze wystarcza na opędzenie potrzeb nadzwyczajnych. A potrzeby te u nas są wielkie. Do nich bowiem najpierwej liczę utrzymywanie dawnych patryarchalnych stosunków z gromadą. Ja utrzymuję te stosunki do dziś dnia, bo jestem zdania, iż jak wszystko dobre, cośmy stracili fizycznie, tak i to trzeba koniecznie utrzymywać siłą moralną. Tu zaś zachodzi ta okoliczność, iż nasz lud wcale się nie rozumie na siłach moralnych i jeżeli ty niemasz dla niego śpichrzów otwartych na zapomogi, otwartej kasy na pożyczki, jeżeli się nie przyczyniasz do zakładania szkółek, szpitalów, do uposażenia kościołów i t. d., to nigdy wpływu na niego nie zyskasz. Wszystko to zaś, jak wiadomo, kosztuje wiele pieniędzy. Powtóre, liczę do takich potrzeb nadzwyczajnych składki, które u nas są liczne. Jakimże byłbym obywatelem kraju, gdybym nie należał do naszych agronomicznych towarzystw, nie przyczyniał się odpowiednio do obszerności mego majątku do składek na szkoły rolnicze, dobroczynne i naukowe zakłady i inne przedsiębiorstwa podobne? A oprócz tego, czyż nie powinienem utrzymywać polskich dzienników, kupować znacznej ilości książek,

być na usłudze moim uboższym sąsiadom i być gotowym do każdej innej obywatelskiej ofiary? Podoba mi się przytem trzymać ten albo ów dziennik francuski, angielski albo niemiecki, kupować książki w obcych pisane językach, czasem jaki obraz zakupić, czasem darować co komu lub zadowolić jakąś inną fantazyę. A tego wszystkiego czynicbym nie mógł, gdybym sam nie pracował i nie oszczędzał się tam, gdzie oszczędność możebna.

Zupełnie innem okiem spojrzałem teraz na jego gospodarstwo, takie zimne i prozaiczne, gdy on tymczasem tak mówił dalej:

— To tedy jest główny powód, dla którego sam się zajmuję ekonomią mego majątku. Ale są jeszcze powody inne. Zaraz tedy drugi powód jest ten, iż wedle mojego zdania, w położeniu podobnem nie dość jest na tem, że się ma tyle dochodów, ile potrzeba na bieżące wydatki, ale potrzeba koniecznie starać się o to, ażeby przyjść do jakiejś leżącej gotówki. Fatalne jest położenie szlachcica nie mającego zapasów — jest on wciąż siebie niepewnym, żyje w ciągłej obawie, nie ma dnia, ani nocy spokojnej. Mnie Pan Bóg w swojej lasce najwyższej strzeże jeszcze dotychczas; od czasu, jakem osiadł na Zawisłoczu, nie nawiedziło mnie żadne nieszczęście—ale czy ja wiem, co się może stać jutro? Niechajże spadnie na mnie gradobicie lub pożar, niechaj przyjdą choroby, śmierć jaka, albo inne nieszczęścia, to cóż stanie się ze mną, jeżeli nie znajdę środków ratunku w zapasach? Będę musiał się uciec do tych funduszów, które są dźwignią mojego gospodarstwa, a spożywszy je, pomimo całej obszer-

ności moich majątków, jestem zniszczonym na lat kilkanaście, a może nawet na zawsze. A mogą się zjawić jeszcze i inne wypadki, mogą przyjść wojny, kontrybucye, grabieże, mogę się znaleźć w położeniu zrobienia jakiejś większej i dobrowolnej ofiary, mogę w danym wypadku być powołanym do pełnienia jakich obowiązków po za obrębem mojego domu—to cóż zrobię natenczas? Będę musiał wieś sprzedać, albo zastawić, albo żonę i dzieci skazać na niedostatki. Nie potrzebuję ci zresztą wiele o tem rozprawiać, a wszakżeż to rzecz jasna jak słońce, że gospodarz, obywatel, mąż, ojciec, ani może pomyśleć o spokoju i szczęściu, dopóki nie ma w swej skrzyni przynajmniej tyle gotówki, ażeby mógł przez trzy lata obejść się bez dochodów ze swej roli. A przyjść do takich zapasów w czasach dzisiejszych, gdzie się żyje tak drogo, i mnie, który dogadzając najrozmaitszym swoim fantazyom, żyję daleko drożej od innych, czy podobna inaczej, jak własnoręczną a skrzętną pracą i oszczędnością we wszystkiem innem? Nakoniec jeszcze postawię ci zapytanie: a dlaczego ja niemam pracować? co mnie uwalnia przed Panem Bogiem od pracy? czy to, że noszę na sobie historyczne nazwisko? czy to, że mam kilka intratnych majątków? czy może to, żem się za młodu uczył cokolwiek więcej od innych i mógłbym zająć wydatne miejsce na wielkim świecie, sam nic nie robić, a wyrokować o wszystkiem?— Być może, że kiedyś z upływem czasu, po latach wielu, kiedy siły moje potargam, uwolnię się w części od takiej pracy, być może nawet, że zupełnie się oddam odpoczynkowi — ale dopókim młody,

zdrów, silny i zdolny do dźwigania ciężarów, chcę być takim samym pracownikiem w winnicy Pańskiej, jak każdy najuboższy wyrobnik, mam to sobie nawet za jeden z najświętszych mych obowiązków, mam to sobie za najgodziwszy i najpiękniejszy zaszczyt, jaki można w dzisiejszych czasach osiągnąć i jestem pewnym, że się w tem przekonaniu nie mylę. Wiem o tem z góry, że w tym punkcie zgadzasz się ze mną, przyszedłeś nawet do tego przekonia daleko wcześniej odemnie, zatem nie potrzebuję się nad tem dłużej przed tobą rozszerzać.

Takie usprawiedliwienie się przedstawiło mi całą postać Karola w innem zupełnie świetle. Wystąpiła ona przedemną, jak posąg z białego wyrzezany marmury — i posąg piękny, wspaniały, pociągający ku sobie tak jasnością swoich wyrazów, jak jeszcze daleko więcej ową jędrną, żywotną, zbawienną myślą, która była treścią jego istoty. Jakoż tą otwartą spowiedzią nie tylko mnie chwycił za serce tak silnie, żem go, miast odpowiedzi, tylko ścisnął za rękę; ale obudził zarazem we mnie cześć głęboką dla siebie i pewną dumę, że jestem mu blizkim. Ale, tymczasem on, wpadłszy już raz na tor otwartej spowiedzi, tak mówił dalej:

— Tak usprawiedliwiłem ci się, jak widzę, zupełnie i dostatecznie, ale pomimo to zostaje mi jeszcze wiele do powiedzenia. Domyśliłem się z kilku twych uwag pobieżnych, iż lubo chwalisz tę skrzętność moją i trzeźwość, z jaką zawiaduję mojemi interesami, jednak obawiasz się, azali taka dbałość o dobra doczesne nie zcieleśnia mojej istoty zanadto i nie zabiera ducha w niewolę ciała. Uwagi te do-

tknęły mnie jeszcze o tyle żywiej i zrozumialej, ile, że ja sam już je sobie niejednokrotnie robiłem, a nawet miewałem chwile, w których z tego powodu byłem pełen obawy o siebie. Niestety! jest to prawdą niezaprzeczoną, że niemasz niebezpieczniejszych sideł dla ducha, jak zajęcie się powodzeniem doczesnem. Z najwybujalszych idealistów, ileż to już nie porobiło się spekulantów, samolubów i najbrudniejszych materyalistów! Poczyna się to zwykle od rzeczy maleńkich, a nawet zacnych: chce sobie wioskę swoją oczyścić z długów, gospodarstwo urządzić, dom wybudować wygodny, zapewnić kącik spokojny. Robi się to pamału, ale już przytem zaczyna się podobać wioska druga, łatwość jest, więc się ją zakupuje, chociaż się niema na to dostatecznych funduszów. Z tego powodu rzuca się w pracę, w fabryki, w spekulacye grosz przynoszące. Aliści przytem podoba się wioska trzecia, czwarta i piąta, albo podoba się złoto leżące we własnej szkatule. Przy spekulacyach przekonało się, że się miało do czynienia z ludźmi obranymi z ufności, wiary i wszelkich przymiotów szlachetnych, używało się przeciw nim czasem tylko ostrożności, potem wybiegów, wreszcie wykrętów, a może czasem nie odrzuciło się i podstępu. Straciło się wreszcie samemu ufność i wiarę, obudziło się łakomstwo i żądzę, a w końcu, wiedząc już z doświadczenia, jak wiele na tym świecie można dokazać groszem, przyszło się do przekonania, że aby czemciś być i coś znaczyć, trzeba mieć przedewszystkiem grosza jak najwięcej. Marzyło się może przez jaką połowę życia o jakichś wielkich, wspaniałych, szlachetnych rzeczach, mają-

cych się kiedyś przy uzbieranych środkach przedsięwziąć—ale tymczasem się ociężało, zasmakowało się w miękkich fotelach, wybrednych sofach, pięknych salonach, błyszczących powozach, a może nawet jeszcze i gorzej, bo tylko w procentowych papierach. I ot jest materyalista, który napracowawszy się nie mało w swem życiu, sprowadził się pod koniec do miasta, mieszka wygodnie, jada wykwintnie, jeździ paradnie, a zamieniwszy się w bydlę, leżące na podściółce listów zastawnych, kupuje sobie poważanie i dobrą sławę za wydawane co tydzień obiady i ladajakie składki, wrzucane do kasy dobroczynnych towarzystw i ochron. Perspektywa okropna! — Ale, mój drogi, ja wiem o tem, że losy ludzi i takiemi chodzą drogami — a to już jest bardzo wiele. Jakoż bronię się przeciw temu, jak mogę i mam dosyć silnych obrońców. Albowiem oprócz tego anioła-stróża, który jest we mnie i broni mnie od wszelkiej chciwości, a ciągłą obudza we mnie tęsknotę za światem duchowym, mam jeszcze matkę moją, mam żonę, mam nareszcie mego ukochanego Skibę. Wszystko to szczere są duchy, a Skiba z nich najsilniejszy. Ten Skiba... oh! gdybym miał taką wymowę, jak Jan Złotousty, to jeszcze nie potrafiłbym ci opowiedzieć, jakie zbawienne wpływy wywierał on na mnie i jeszcze ciągle wywiera. Najgorszym on był nauczycielem — byłby mnie może w monstrum zamienił, gdybym był nie miał mojego własnego uczucia i nie zachował tej moralnej puścizny, jaką wziąłem od moich rodziców — ale tak, oba te wpływy zrównoważyły się z sobą, a wszystko to, co przyjąłem od Skiby, obró-

ciło się tylko na moją korzyść. Dziś jest on w moim domu kapłanem ducha, stróżem ludzkości, aniołem pokoju i zgody, ołtarzem wiecznie płonącej nadziei. Przez niego ja głównie utrzymuję nieprzerywane związki ze światem duchowym. On mi utrzymuje dzienniki, czyta je wszystkie i zdaje mi z nich sprawę co wieczór, on mi wybiera książki, które mam czytać, on zachowuje w porządku i uzupełnia moją bibliotekę, on wreszcie za mnie wybiega w świat i utrzymuje mnie w związkach z tem wszystkiem, co mi jest blizkie, pokrewne sercem lub duchem, co jest nauczające, nowe, świeże, ciekawe. Od niedawnego dopiero czasu jestem w stanie wyprawiać go w takie podróże, ale już jeździł przeszłego roku do Francyi, a co tam robił, sam to widziałeś, niedawno zaś temu wrócił z Warszawy i zapewne sam ci zda sprawę z tej zajmującej podróży. Tak tedy, jak sądzę, i ta potrzeba jest wedle mojej możności zaopatrzoną—a jeśli u nas dni kilka zabawisz, o czem nie wątpię, to się dowodnie przekonasz, iż warujemy się przeciw zcieleśnieniu dosyć skwapliwie, a Zawisłocze, choć leży na ustroniu i w górach, jest w ustawicznych związkach z duchem całego świata, a czasem nawet może wie lepiej i prędzej o tem wszystkiem, co nas powinno obchodzić, aniżeli się można dowiedzieć z naszych zamglonych dzienników.

Kończąc te słowa, spojrzał Karol na zegarek i rzekł mi:

— Jeszcze mamy pół godziny do obiadu, a ty może głodny...

— Ale gdzież tam. Owszem, rad jestem temu,

że jeszcze obiad nie zaraz będzie, bo będę mógł jeszcze przed obiadem odwiedzić Skibę. Wszakżeż jest w domu?

— Ale jest, oczywiście, tylko on takie prowadzi życie, że do obiadu nigdzie nie wychodzi z pokoju, a ponieważ mieszka na baszcie, bardzo wysoko nad nami, więc zapewne i nie wie, że przyjechałeś. Zdaje mi się nawet, że gdyby kiedy o tych godzinach pożar wybuchnął w dziedzińcu, tobyśmy go z pomocą Bożą zgasili a onby się o tem dowiedział dopiero przy obiedzie. Idź więc teraz do niego, kiedy tak chcesz, a ja przyjdę po was niebawem.

Jakoż odprowadził mnie do wschodów, wiodących na basztę, a sam się wrócił.

Kiedym wszedł do komnaty Skiby, tej samej starożytnej komnaty, zawieszonej na wierzchu baszty, którą opisałem w swojem miejscu tak szczegółowo, znalazłem Skibę siedzącego przy biurze, na którem było porozkładanych mnóstwo tablic numizmatycznych i książek. Miał przytem pod ręką kartkę papieru, na której coś sobie notował. Obaczywszy mnie, zerwał się z miejsca i powitał, jak zwykle,, z serdecznością wesołą i hałaśliwą. Wypowiedziawszy prędko to wszystko, co mu jego poczciwe serce przyniosło, rzekł potem:

— Ale przecież nie mogę tego zataić, że mam pretensyę do pana. Siedzisz cały rok na wsi o kilkaście mil od nas, przejeżdżałeś zapewne tędy nieraz a o nas nie pamiętałeś.

— Mogę panu zaręczyć, że tylko raz szczególny przejeżdżałem tędy a i natenczas byłem tak niezdrów, że jechałem do Karlsbadu.

— Cóż panu było? śledziona, wątroba, żołądek, nieprawdaż? wszystko to od tych bibuł, przy których tak wiele się siedzi. Znam ja to doskonale i mówię, że człowiek nie jest stworzony do takiej pracy. Ale jakże tego uniknąć, kiedy tym tylko sposobem można już tu na ziemi przygotować się do tego rodzaju życia, jaki nas czeka za grobem? Zabija się ciało, ale duch ma to, czego mu trzeba. Patrz pan i ja tu przedsięwziąłem pracę taką, która mojemu zdrowiu wcale nie służy, ale w niej trwam i wytrwam, póki nie dojdę do celu.

Pochyliłem się nad jego biurem, ażeby przejrzeć porozkładane tablice i książki i rzekłem:

— Cóż to? numizmatyka, ba, nawet cała archeologia? cóż to pan robisz?

— Przechodzę po kolei to wszystko, co u nas na tem polu zrobiono.

— Nie wielką pan będziesz miał pracę. M....., Michał Grabowski, a oprócz tego kilkanaście artykułów luźnych i na tem koniec.

— Ja wiem o tem, że tego wszystkiego nie wiele, ale właśnie dlatego tem zmudniejsze mam z tem zajęcie. Proszę pana, co pan rozumiesz o tym archeologicznym ruchu, który się u nas ostatniemi czasy objawił?

— O co panu chodzi? czy o to, jak sobie ten ruch archeologiczny tłómaczę? czy o to, czego się wogóle po archeologii u nas można spodziewać?

— O jedno i o drugie.

— Archeologia—rzekłem — jest to bez wątpienia bardzo ważna nauka, ale jest ona wszędzie tylko ważną o tyle, o ile się przyczynia do wyjaśnie-

nia historyi. Znaczenie jej jako samoistnej nauki jest tylko podrzędne, a to nawet tam, gdzie się już stała hermeneutyką i krytyką starożytnych sztuk pięknych, chociaż tem jeszcze się w zupełności nigdzie nie stała. Nawet na polu starożytności rzymskich i greckich, polu bardzo bogatem i bardzo już pilnie opracowanem, jest ona jeszcze zawsze fragmentaryczną; pojedyncze jej części przyniosły nauce dziejów nieobojętną przysługę, ale systematycznie utworzonego obrazu całości niemasz jeszcze do dziś dnia. Zamierzone w tym celu, a znane nam prace Müllera, Böttigera i innych, są to tylko częściowo szczęśliwe próby. A chociaż tam zapewne z czasem przyjdzie do tego, że te nabytki złożą się w całość porządną i pełną jednolitej wartości — to u nas nie można o tem ani pomyśleć. Gdzie sztuki piękne nigdy nie kwitły, a mówiąc prawdę, gdzie ich nawet zgoła nie było, jakież być może dla archeologii pole? Nie przeczę temu, owszem, sam jestem zdania, że gałęzi tej zaniedbywać nie trzeba, a ci, którzy się nią zajmują, zdobywają sobie już dlatego piękną zasługę, iż pracują z zapałem na polu niesłychanie niewdzięcznem—ale żeby się po tych pracach można choć miernych spodziewać zdobyczy, o tem wątpię. Jestem nawet przekonany, że na tych rozoranych mogiłach, na powalonych grodach i zamkach, które się u nas znajdują, nie da się nic więcej zbudować, oprócz kilku notatek, które nie wiele przyniosą. W całej naszej archeologii jest tylko jedna gałązka, która jest bogatą i obiecującą, a tą jest numizmatyka. Dlatego chciałbym, ażeby przed wszystkiem innem na tem polu do niej się wzięto;

tu się da wiele skorzystać, tu się da nawet piękna utworzyć całość, na drugiem miejscu położyłbym broń, zbroje, ubiory—a dopiero na koniec zostawiłbym zamki, grody, mogiły, groby, dla których u nas podobno same topograficzne opisy wystarczą. Siły zaś te, które się z takim zapałem tym pracom oddają, wolałbym widzieć zwrócone tam, gdzie przeszłość żywym swym duchem do nas przemawia, zamiast tam, gdzie zmudna, kosztowna praca znajduje tylko milczące czerepy i kości...

— Otóż i ja jestem tego zdania — rzekł na to Skiba — borykać się ze śmiercią na to, ażeby z jej objęć wydobyć pamiątki życia, to rozumiem, ale wydzierać jej kości trupie i prochy, to szkoda czasu. Przeczytałem tu mnóstwo rozpraw częścią całkiem chybionych, częścią bardzo ciekawych i pięknych, ale nakoniec przeszedłem do numizmatyki i z Czackim w ręku siedzę, jak pan widzisz, nad rysunkami pieniążków.

Pokazywał mi potem Skiba bibliotekę Zawisłocką. Znalazłem w niej, jak na taką bibliotekę szlachecką, zasoby bardzo bogate: były tam kroniki polskie wszystkie, a między niemi niektóre w pierwszych wydaniach, z literatury Zygmuntowskiej większa połowa, a z czasów późniejszych, aż do Stanisława Augusta włącznie prawie wszystko. Była to jeszcze puścizna po dziadku Karola, który i to zachował, co sam odziedziczył po ojcach i wszystko sobie współczesne zakupił. Z literatury zaś nowszej znalazłem wybór zrobiony umiejętnie i ze znajomością bibliograficzną, a z bieżącej, o ile mogłem dojrzeć za rzutem oka pobieżnym, nie brakowało nic

więcej jak tylko tłómaczeń i książek takich, które nie mają żadnej wartości. Prócz tego jeszcze i z literatur obcych znalazłem zapasy znaczne, a co tylko znakomitszego się pojawiło w ostatnich czasach w języku francuskim, angielskim i niemieckim, prawie wszystko tam było. Kiedyśmy wszystkie działy tych druków pobieżnie przejrzeli, pokazał mi Skiba rękopisy, których była liczba dość spora, a pomiędzy któremi głównie uwagę moją zwróciły książki do nabożeństwa pisane na pargaminie, jedna z czasów Władysława Jagiełły, druga z czasów Kazimierza Jagiellończyka, a kilka późniejszych, pamiętnik Karolowego pradziadka z epoki pierwszego najazdu Szwedów, arcyciekawa Sylva rerum z czasów Augustowskich i bardzo bogaty zbiór wierszy i pieśni z czasów konfederacyi barskiej. Nakoniec dopiero pokazał mi dzienniki, których liczba przeszła moje oczekiwanie. Było ich bowiem kilkanaście, z których większa połowa polskie, reszta w językach obcych.

— A! przyznam się panu, że tylu dzienników się u was nie spodziewałem!

Ucieszył się Skiba tą moją uwagą i rzekł:

— Mielibyśmy ich daleko więcej, bo Karol na takie rzeczy nie żałuje pieniędzy, ale proszę pana, czy jest podobna dać temu radę? Ja i nad temi trawię połowę dnia codzień, cóżbym zrobił, gdyby ich było jeszcze więcej? A przecież oprócz nich są książki bieżące, ba! są i dawne, o których trudno zapomnieć. Jeszcze gdyby te pisma czasowe były wszystkie takie, jak z nich niektóre, to nieraz na uporanie się z całym tuzinem wystarczyłaby jedna

godzina, ale trudno zaprzeczyć, że są i takie, które trzeba czytać od deski do deski.:

— A do tych pan liczysz?

— Do tych liczę dwa przedewszystkiem: *Bibliotekę Warszawską* i *Przegląd Poznański*.

— I *Przegląd*?—spytałem Skibę, patrząc uważnie na niego.

Uśmiechnął się na to i rzekł:

— Jużci zapewne, że ja się nie zupełnie zgadzam z zasadami *Przeglądu*, ale nic mi to nie przeszkadza przyznać, że jest to jedno z najznamienitszych pism, jakie kiedykolwiek posiadała literatura polska. Jest to zresztą pismo, dla którego jestem pełen podziwu, a to dlatego, iż piszą je ludzie prawie zupełnie w literaturze nieznani, a piszą z uczonością gruntowną, doskonałym językiem i z tak dokładną znajomością literackiego zawodu, jak gdyby byli literatami z rzemiosła. Wszakże nad to wszystko jeszcze daleko więcej uderzającem jest to, iż wydając to pismo od lat kilkunastu, jak najwidoczniej mają tylko służbę około dobra publicznego na celu, którą sprawują z takiem poświęceniem, iż nietylko się wyrzekają wszelkich korzyści materyalnych, lecz nawet i uznania swojej zasługi. Cnoty takie należy czcić i szanować; jakoż mogę panu zaręczyć, że *Przegląd* niema głębszego i rzetelniejszego czciciela odemnie.

Musiałem Skibę ścisnąć z całej siły za rękę i powiedzieć mu na to:

— Pan jesteś jednym z najzaczniejszych ludzi, jakich mi się zdarzyło znaleźć. Ale pozwolisz mi pan, ażebyśmy kwestyi o zasady *Przeglądu* nie za-

kończyli na tej wzmiance pobieżnej. Mam też nadzieję, iż pomówiwszy o nich obszerniej, przekonam pana dowodnie, iż to, w czem się pan możesz nie zgadzać z *Przeglądem*, są to tylko rzeczy uboczne, a w głównych musisz się pan zgodzić koniecznie.

— Już naprzód się cieszę z tej dysputy — odpowiedział mi Skiba—bo się spodziewam, że się dowiem od pana niejednej rzeczy dla mnie zupełnie nowej; ale pomimo to trochę się tej dysputy boję, zwłaszcza jeżeli się do niej wmiesza pani pułkownikowa. Trzeba panu bowiem wiedzieć, że dla niej *Przegląd* jest ewangelią, a i Karol także nie wiele się różni w tem zdaniu od matki; jak mnie tedy weźmiecie we troje w obroty, to chcąc czy nie chcąc, będę musiał kapitulować.

— Nie, panie drogi, pan nie będzie kapitulował, tylko zawrze z nami przymierze, które odtąd trwać będzie po wieczne czasy.

— Bardzom ciekawy, czy mnie do tego doprowadzicie; wiesz pan dobrodziej, ot! możebym i kontent był z tego, bo jest to jedyna rzecz jeszcze, o którą się czasem na seryo kłócimy z naszą najzacniejszą staruszką. Ach, panie drogi! co to jest za kobieta!... Ale to nie kobieta, to święta, która się ku zbawieniu ludzi jeszcze błąka po ziemi. Wszystko to, co pan dziś widzisz w Karolu, to jest jej dzieło—a co ona zrobiła z tej Józi! — No, ale jakże pan znalazłeś Karola? czy mam słuszność, że się nim cieszę tak bardzo?

— Ale masz pan słuszność zupełną, najzupełniejszą.....

Chciałem mówić dalej — ale wtem wszedł do nas Karol, dając nam znać, że zupa na stole.

Za małą chwilę siedzieliśmy już przy obiedzie. Potrawy były nie wymyślne, nie bardzo liczne, ale czyste i smaczne: kuchnia polska, z umiejętnem zastosowaniem tego, co wymyślili pod tym względem Francuzi. Chwaliłem mu jego kuchnię, a mianowicie jej dostatniość przy zachowaniu skromności, jej charakter polski, a tak umiejętnie uszlachetniony nabytkami cudzemi. Odpowiedział mi na to:

— Jak w kuchni, tak wszędzie, jest to moją zasadą. Powinniśmy przedewszystkiem zachować to, co jest rodzime, nasze, ale przyswajać sobie także i to, co dobrego znajdziemy u obcych. Podług mnie bowiem, jak ten niema zupełnej słuszności, który chwali bezwzględnie wszystko, co nam przekazali nasi ojcowie, tak ten jeszcze mniej, który gani to wszystko dlatego, że komu innemu dostało się coś lepszego w spuściźnie.

— Na to zgoda zupełna, ale niechaj mi wolno będzie powiedzieć, że przecież milszym mi jest ten poczciwy prostaczek, który z miłością chwali bezwzględnie wszystko, co swoje, aniżeli ten niby-mędrzec, który wywiesiwszy sztandar postępu, chwyta się na ślepo tego wszystkiego, co wymyślili Niemcy, albo Francuzi. Tak np. kotlety w papilotach, które dają w Café de Paris, są potrawą wyborną, ale przecież to nam po staremu trudno się obejść bez naszego polskiego barszczu. A jak to ten nasz barszczyk smakuje po tych kotletach!

— Ach! a jak on smakuje!—zawołał Karol, na co rzekł Skiba:

— A ja, powiem panom, ja i w Paryżu jadałem sobie barszczyk tak dobrze, jak w Polsce. Na *rue d'Amsterdam* jest tam polska kuchenka, a pan Tomasz gotuje takie barszcze wyborne, że i tu lepszych nie znajdzie.

Opowiadałem Karolowi, jak żył Skiba w Paryżu i opisywałem mu jego mieszkanie, czemeśmy się ubawili wybornie. Przeszlismy potem do rzeczy ważniejszych, a Skiba nam rzucał szkice Warszawy, które były jeszcze o tyle ciekawsze, ile że znał to miasto od lat czterdziestu i swoje obrazki dzisiejsze malował na tle pamiętanej przez siebie, a tak zajmującej przeszłości. Strawiliśmy na tem prawie cały czas poobiedni, a Skiba swojemi wspomnieniami Warszawy tak mnie przykuł do siebie, żem się z nim wyniósł do mego pokoju i kiedy Karol był zajęty gospodarskiemi raportami i dyspozycyami, myśmy wciąż prowadzili niezmordowaną o Warszawie gawędę.

Około godziny ósmej dano nam znać, że panie już powróciły i oczekują nas w salonie.

Z uczuciem czci świętobliwej szedłem widzieć tę zacną matronę, której życie i czyny były mi znane tak dobrze. I ją samą znałem także i pamiętam jeszcze z tych czasów, kiedy nieraz po parę miesięcy przemieszkiwała we Lwowie, ażeby się przypatrywać zblizka naukom Karola. Zastałem ją wszakże bardzo zmienioną. Była to już całkiem osiwiała staruszka i przygarbiona, zaczem zdawała się być tak malutką jak dziecko. Ale mimo to była jeszcze tak trzeźwą i tak przytomną, jak gdyby lata nie wywierały na jej ducha żadnego wpływu.

Pani Karolowa była to teraz prześliczna kobieta: była prawie imponującą swym wzrostem i blaskiem urody, ale mimo to przedewszystkiem uderzała skromnością; bardzo obrotny zdradzała rozum i miała niepospolitą wymowę, ale te piękne dary służyły jej tylko do tego, ażeby tem jawniej okazać uprzejmość i słodycz jej charakteru.

Gdzie takie kobiety ton dają domowi, tam się jest odrazu, jak gdyby we własnem kółku rodzinnem. Tak się też stało i ze mną. Stałem przez jaką chwilę z młodą gospodynią domu przy stole i przerzuciliśmy w prędkiej rozmowie wszystkie główniejsze wspomnienia z zapamiętanej przez nas przeszłości; wszystkiegośmy zlekka dotknęli, nie wyczerpawszy niczego. Rzekłem nareszcie:

— Ale mimo to wszystko, muszę pani powiedzieć, że zapoznawszy się z całym stanem rzeczy w waszem gospodarstwie i domu, jestem w najgorszym humorze.

— A to dlaczego? — zapytała głosem niepewnym żona Karola.

— Dlatego, że mieszkam ztąd tylko o mil kilkanaście, tyle już lat jesteśmy siebie tak blizko, a ja dopiero teraz was odszukałem i to jeszcze do tego przypadkiem.

— Będziemy się mścić za to na panu — odpowiedziała mi na to—i najpierw nie puścimy pana tak długo, dopóki przynajmniej tylu dni nie odsiedzisz w Zawisłoczu, ile lat my tu mieszkamy. A potem naznaczymy jeszcze i inną karę na pana...

— A ja—rzekła na to matka Karola—nakładam

zaraz tę karę na pana, ażebyś zabrał miejsce tu przy mnie i odpowiedział mi na wszystkie te pytania, które panu z kolei postawię.

— Służę pani z całego serca, ale się boję, ażebym przez to nie zepsuł zwyczajnego w tym domu porządku; albowiem jak zasiądziemy oboje na osobności, to się zapewne tak zagadamy, że pan Skiba nie przyjdzie wcale do słowa i nie zda nam sprawy z dzisiejszych dzienników.

— Spodziewamy się ciekawych rzeczy dowiedzieć od pana — wszakżeż wracasz wprost z zagranicy?

Takeśmy zasiedli w ciasnem kółeczku, rozmawiając z początku o wszystkiem. Niebawem wszakże przeszliśmy po staremu na nasze dawne wspomnienia, na lata pacholęce i akademickie, na rok 1846 i 1848 — a śród takiej gawędki, kiedy nam wieczór przeminął, sam nie wiem...

Nazajutrz rano słuchaliśmy społem mszy świętej w pięknej domowej kapliczce, urządzonej w murach starego zamku, a po mszy odwiedziliśmy grób pułkownika. Cały ten ranek przeszedł nam na rozmowach poważnych i [wspomnieniach pełnych żałoby.

Po południu obie damy pokazywały mi urządzony przez siebie szpitalik, a połączony z ochronką dla starców pozbawionych możności zarobku i sierot. Kilkanaście dusz chrześciańskich znajdowało tam umieszczenie i opiekę pełną troskliwości, a próżną wszelkich hałasów. Pułkownikowa sama była mistrzynią tego zakładu wyręczając się swoją synową tylko o tyle, ażeby była pewna, że ją po

jej śmierci będzie miał kto zastąpić. Później zaprowadził nas Karol do szkółki gromadzkiej, którą uposażył dostatnio i zawsze sam nadzorował, a w końcu pokazał nam swoją szkółeczkę odrębną, w której kilku chłopaków uczył gospodarskiego rzemiosła. W obydwu tych szkółkach znowu Skiba był mistrzem, a nawet sam był nauczycielem. Zacny ten człowiek, lubo usposobiony do daleko wznioślejszego zawodu i nieraz latający duchem niezmiernie wysoko, nie wzdrygnął się przecież przed zatrudnieniem na pierwszy pozór tak nizkiem. Natrąciłem mu tę uwagę, a on mi odpowiedział:

— Gdyby każdy człowiek wychował tylko jednego człowieka, tak jak należy, jużby to było niezmiernie wiele, a cóż dopiero powiedzieć o tem, jeżeli komu się uda wychować kilkudziesięciu? Ja wychowuję tutaj tylko lud prosty, z tych moich uczniów zapewne żaden czem innem nie będzie, jak ubogim rolnikiem, ale każdy z nich będzie ojcem rodziny, a teraz nawet i takim obywatelem kraju, jak i inni.

Dnia następnego zwiedzaliśmy chatkę Bernata i wtedy to poznałem się z tymi zacnymi przewoźnikami, którzy własnowolnie i mimowoli przyczynili się tak dzielnie do teraźniejszego szczęścia Karola i Józi. Poznałem także natenczas ową zwodnicę Basię, która niegdyś tak namęczyła biednego Antka. Była to dzisiaj kobieta jak posąg, a raczej jak piec tylko, bo już do tego czasu przeszła cokolwiek, ale była doskonałą żoną i matką i gospodynią wyborną. Karol i jego żona obchodzili ze mną wszystkie kąty tej chatki: pokazywali mi tu żarna, na których naj-

pierwej ranionemu młodzieńcowi objawiła się Józia, to łóżko, na którem tyle przecierpiał boleści... Łzy i uśmiechy towarzyszyły naprzemian tym odświeżonym wspomnieniom, które do dnia dzisiejszego zdawały im się być najważniejszemi chwilami ich życia.

W dniach późniejszych odwiedziliśmy Przewoźniki, ogród tamtejszy, sadzawkę, a nareszcie i tę wysepkę w jej środku, na której Karol niegdyś z rozpaczliwemi łzami pożegnał był Józię. Słucham z zajęciem opowiadań Karola o owych czasach, lecz przyszedł mi na myśl szambelan. Ciekawy byłem niezmiernie, co też się dzisiaj z nim dzieje i jak się ukształciły niezrozumiane przezemnie stosunki pomiędzy takim poczciwym zięciem a tak niezacnym teściem. Jakoż gdy Józia karmiła u brzegu sadzawki swoje łabędzie, a myśmy stali na wyspie, zapytałem go o to.

— Szambelan?...—rzekł na to Karol przeciągle.— O! szambelan jest to szczęśliwy człowiek od początku do końca. Ożenił się, spłodził syna i bardzo mu dobrze się powodzi. Gorzej trochę jego synowi, który omyliwszy się w swoich nadziejach i dostawszy od ojca zamiast Łańcuta, Przeworska, Brzeżan, albo przynajmniej choć dóbr podolskich, tylko Bobrówkę, sprzedał ją wyniósłszy się gdzieś na Podole, trzyma tam wielką dzierżawę. Źle mu jest teraz, a choć zapewne kiedyś jako pan milionowy na scenę świata wystąpi, zerwał tymczasem wszelkie stosunki z ojcem. Ale ja i szambelan żyjemy jak tylko można najlepiej: próbowaliśmy zrazu wpływać na siebie nawzajem, nie udało się nam to, a więc się tylko

odwiedzamy wzajemnie co roku i jesteśmy dla siebie tak grzeczni, że już więcej nie można. Tak przeżyjemy z sobą całe życie do grobu i dobrze nam z tem będzie...

Pominęliśmy dalsze szczegóły tego wspomnienia, ażeby już nigdy do nich nie wrócić.

Natomiast zaś daleko swobodniej rozmawialiśmy o przeszłości nazajutrz, kiedyśmy z kolei przyjechali do Grzymalina.

— Pyszny to jest majątek—powiadał mi Karol, pokazując mi łany tamtejsze; — daleko więcej wart i daleko piękniejszy niż Zawisłocze z Przewoźnikami; ale dla mnie zawsze jak grób. Nie widział nikt nigdy uśmiechu na mojej twarzy w obrębie kopców tutejszych. Jest tu jakieś grobowe powietrze, które mi serce napawa niewysłowioną żałobą. Taki to ród był piękny tych ludzi, taki bogaty zostawili materyał na godnego na siebie następcę, tak łatwo mu było z taką głową i sercem utrzymać się przy istnieniu, znaczeniu i dobrej sławie i wszystko to zaprzepaścił i sam zginął tak marnie! Smutne to dla mnie, prawie zabijające wspomnienie!

— A wiesz, co temu było przyczyną? Oto był człowiek, który po swoich przodkach odziedziczył za wiele.

Pomyślał nad tem Karol i rzekł po chwili:

— Ha! masz ty słuszność. Wielkie puścizny moralne trzeba przyjmować z dobrodziejstwem inwentarza. On tego nie zrobił, zabrał wszystko, nic nie odrzucił. Po umierających dziedziczył i śmierć odziedziczył.

Kilka dni jeszcze potem bawiłem w Zawisłoczu.

Uradowany tem Karol, że się od swoich zmudnych zatrudnień oderwał więcej, aniżeli to mógł bez powodu uczynić, był w najlepszym humorze i chciał urządzać polowania, obiady i tańcujące wieczory. Aleśmy uradzili, ażeby temu dać pokój. Nie masz prawdziwego uczucia pośród hałasów...

Poprzestaliśmy tedy tylko na krótkich wycieczkach w sąsiedztwa, a z nich każdego dnia przed wieczorem powracaliśmy wcześnie do domu. Wtedy zasiadaliśmy w ciasnem kółeczku, otwierając nawzajem swoje umysły i serca. Tak zapoznałem się z czasem z każdą myślą, z każdem uczuciem, które żyło w tej całej rodzinie...

I znalazłem tam wogóle pobożność, bardzo trzeźwy rozsądek, lecz przytem niewyczerpaną miłość i dobrą wolę...

Na dnie ich życia siedziała skrzętna, wyrachowana praca, lecz nad nią unosił się uszlachetniony duch ludzki w całej swojej swobodzie i wspaniałości...

Nie myślałem nigdy, ażeby do tak trafnego pojęcia swych obowiązków, do tak szczelnego ich wykonania i wogóle do tak jędrnego, poczciwego i szczęśliwego żywota, mogli dojść także tak nieszczęśliwe Rozbitki!

Ale mogą to bez żadnego wątpienia... trzeba tylko do tego miłości, dobrej woli i pracy.

KONIEC

BIBLIOTEKA Państwowego Liceum Pedagogicznego w GLIWICACH

WYCIĄG Z KATALOGU

BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH

Do nabycia w Administracyi „**BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH**“ (Warszawa, Warecka № 14), w Filii Kantoru „**GAZETY POLSKIEJ**“ (Warszawa, Krakowskie-Przedmieście № 1) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1904.

		CENA w oprawie kop.	CENA brosz. kop.
310, 311, 312, 314, 315, 316.	**Z. Kaczkowski.** OLBRACHTOWI RYCERZE. Powieść historyczna z przedmową Władysł. Jabłonowskiego.	240	150
313.	**Hans Leuss.** Z WIĘZIENIA PRUSKIEGO. Z przedmową Włodzimierza Trąmpczyńskiego.	40	25
317.	**T. Roosevelt,** prezydent Stanów Zjednoczonych A. P. ŻYCIE WYTĘŻONE. W przekładzie i z przedmową Ludwika Włodka.	40	25
318.	**Anatol France.** HISTORYA KOMICZNA. Powieść. Przekł. Emilii Węsławskiej, z przedmową Wł. Jabłonowskiego.	40	25
319.	**Kazimierz Gliński.** OBRAZKI Z PRZE-		

Tom		CENA w oprawie kop.	CENA brosz. kop.
	SZŁOŚCI, z przedmową Henryka Gallego.	40	25
320, 321, 322.	**Henryk Brandt.** PAMIĘTNIKI OFICERA POLSKIEGO. Przekład M. G., z przedmową prof. Szymona Askenazego.	120	75
323.	**Iwan Wazow.** WYBOR NOWEL. Przekład Józefy Anc.	40	25
324, 325.	**Deotyma.** SOBIESKI POD WIEDNIEM.	80	50
326, 327.	**Wilhelm Depping.** JAPONIA.	80	50
328, 329.	**Grazia Deleda.** PO ROZWODZIE. Przekład Wili Zyndram-Kościołkowskiej. Powieść.	80	50
330.	**Wiktor Doleżan.** MANDŻURYA.	40	25
331.	**Jerzy Leueven.** H. IBSEN. W tłómaczeniu A. Kordzikowskiej z przedmową Władysława Jabłonowskiego.	40	25
332, 333.	PAMIĘTNIK EX DZIEDZICA z dopiskami ex pachciarza, zebrali X. Y. i Y. Z. Powieść.	80	50
334.	**Werner Siemens.** WSPOMNIENIA Z MEGO ŻYCIA. Spolszczone przez M. S., z przedmową G. Tołwińskiego.	40	25
335.	**Fr. von Eeden.** MAŁY JANEK. Z przedm. i tłom. F. L. Lubodziecka. Powieść.	40	25
336.	**Eliasz Metschnikoff.** STUDYA NAD NATURĄ LUDZKĄ. Streścił D-r E. B.	40	25
337.	**Stanisław Pilecki.** HISTORYA UBOGIEJ PANNY. Powieść.	40	25
338, 339.	**Maurycy Barrés.** WYRWANI Z GRUNTU OJCZYSTEGO. Przekład I. P. z przedmową Wł. Jabłonowskiego. Opowieść.	80	50
340, 341.	**Marya Ratuld-Rakowska.** PODRÓŻ POLKI PO PERSYI. Z przedmową T. Jaroszyńskiego.	80	50
342, 343.	**Maurycy Jókaj.** BIAŁA DAMA Z LIWOCZY. Przekład B. Jaroszyńskiej. Powieść.	80	50
344.	NOWELLE FRANCUZKIE. Przełożyła M. Rakowska.	40	25
345. 346.	**M. Czerny.** DNO LETY. Powieść.	80	50
347, 348.	**Edmund Demolins.** POTĘGA WYCHOWANIA. Przekład z francuzkiego.	80	50
349	**Jonasz Lie.** ULWUNGOWIE. Kartka z księgi namiętności	40	25
350, 351,	**M. Pawlikowski.** BAJKI I OPOWIADANIA	80	50

		CENA w opr. kop.	brosz. kop.
352, 353.	**CONRAD (Konrad Korzeniowski).** LORD JIM Przekład z angielskiego i przedmowa Emilii Wesławskiej	80	50
354, 355, 356.	**GABRYELA ZAPOLSKA.** „A GDY W GŁĄB DUSZY WNIKNIEMY"... Powieść współczesna z przedmową Wł. Jabłonowskiego	1.20	75
357.	**GUY DE MAUPASSANT.** NA WODZIE. Przekład Ireny Łopuszańskiej, z przedmową Wł. Jabłonowskiego	40	25
358.	**EMIL TARDIEU.** ZNUDZENIE. Studyum psychologiczne w przekładzie z francuskiego i przedmową Maryana Massoniusa.	1.35	1.20
359.	**M. A. SZIMACZEK.** OBRAZKI Z ŻYCIA. Z czeskiego przetłómaczyła J. Kietlińska-Rudzka	40	25
360. 361	**DEOTYMA.** POLSKA W PIEŚNI. SOBIESKI POD WIEDNIEM.	80	50

Rok 1905.

362, 363, 364.	**GABRYELA ZAPOLSKA.** SEZONOWA MIŁOŚĆ. Powieść współczesna Z przedmową Zdzisława Dębickiego	1.80	1.50
365.	**Helena Keller.** HISTORYA MEGO ŻYCIA. (Autobiografia głuchoniemej). Tłómaczyła M. Pankiewiczówna	40	25
366. 367.	**G. Flaubert.** SALAMMBO. Powieść z przedmową W. Jabłonowskiego	80	50
368, 369.	**T. Jaroszyński.** CHIMERA z przedmową Z. Dębickiego	80	50
370.	**H. Lichtenberger.** FR. NIETSSCHE i JEGO FILOZOFIA. Tł. I. Marcinkowskiej z przedmową Wł. Jabłonowskiego	40	25
371, 372, 373.	**M. Rodziewiczówna.** KLEJNOT, z przedmową H. Gallego	1.20	75
374.	**W. Marrené Morzkowska.** CYGANERYA WARSZAWSKA, z przedm. H. Gallego.	40	25

Tom		CENA w oprawie kop.	CENA brosz. kop.
275, 376.	**Kenijro Tokutomi.** NAMI-KO. *Z* japońskiego tłómaczyli Sakae Shioya i E. F. Edgett. Z angielskiego przełożyła Emilia Węsławska.	80	50
377.	**Cr Th. Zell.** CZY ZWIERZĘ NIEMA ROZSĄDKU? Spolszczone przez M. S.	40	25
378, 379, 380, 381.	**Teodor Jeske - Choiński.** GASNĄCE SŁOŃCE. Powieść z czasów Marka Aureliusza	2.60	200
382.	**Booker T. Washington.** AUTOBIOGRAFIA MURZYNA. Przekład M. G.	40	25
383. 384, 385, 386.	**Z, Kaczkowski.** ROZBITEK. Powieść z przedmową Wł Jabłonowskiego	2.60	2.00

Dla prenumeratorów „*Biblioteki Dzieł Wyborowych*“ wydaje się **wielkie i znakomite dzieło**

Juliana Adolfa Święcickiego

p. t.:

HISTORYA LITERATURY POWSZECHNEJ

Z ILUSTRACYAMI

którego każdy tom stanowi **osobną całość** i może być oddzielnie kupowany.

Treść wydanych dotychczas tomów:

		CENA w opr. kop.	CENA brosz. kop.
Tom I.	LITERATURA BABILOŃSKO-ASSYRYJSKA I EGIPSKA. Stron 384. Ilustr. 91. 1901 r.	175	150
Tom II.	LITERATURA CHIŃSKA I JAPOŃSKA. Stron 447. Ilustr. 97. 1901 r.	175	150
Tom III.	LITERATURA ARABSKA. Stron 416. Ilustr. 52. 1901 r.	175	150
Tom IV.	LITERATURA INDYJSKA. Stron 462. Ilustr. 68. 1902 r.	225	170
Tom V.	LITERATURA PERSKA. Część I. Stron 239. Ilustr. 35. 1902 r.	175	150
Tom VI.	LITERATURA PERSKA. Część II. Stron 239. Ilustr. 27. 1902 r.	175	150
Tom VII.	LITERATURA ŻYDOWSKA. Część I. Stron 264. Ilustr 49. 1902 r.	175	150
Tom VIII.	LITERATURA ŻYDOWSKA. Część II. Stron 288. Ilustr. 29. 1903 r.	175	150
Tom IX.	LITERATURA ŻYDOWSKA. Część III. Stron 368. Ilustr. 24. 1903 r.	175	150
Tom X.	LITERATURA ŻYDOWSKA. Część IV. Stron 312. Ilustr. 11. 1903 r.	175	150

KOLEGIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH
21138